



***DONNA CLAYTON***

***Szamanka***

*The Doctor's Medicine Woman*



## ***ROZDZIAŁ PIERWSZY***

- Postanowiliśmy ostatecznie wyrazić zgodę na adopcję...

Travis Wescott, który stawiał się właśnie przed Radą Starszych plemienia Kolheeków, w zasadzie tracił już nadzieję, że kiedykolwiek usłyszy te słowa. Dzięki temu doświadczył teraz, czym jest czysta, dziecięca niemal radość.

- Jest jednak pewna drobna... - smagła kobieta o szerokiej, powściągliwej twarzy zawiesiła na moment głos - przeszkoda.

Najgorsze myśli natychmiast skurczyły mu żołądek.

- Przeszkoda? - powtórzył zawiedziony. Zmarszczył brwi i lekko pokręcił głową. - Jaka przeszkoda?

Tak bardzo starał się udowodnić tym ludziom, że jest poważny i odpowiedzialny. W ciągu dwóch miesięcy cztery razy przemierzył odległość między Filadelfią a rezerwatem na północy stanu Vermont, by stanąć przed Radą Starszych w swojej sprawie. Musiał ich przekonać, że brak żony nie przeszkodzi mu być dobrym ojcem dla pięcioletnich bliźniaków: Jareda i Josha. I kiedy już ucieszył się, że nareszcie dotarł do celu, pojawia się jakiś nowy kłopot, kolejna trudność do pokonania. Czy i tę górę uda mu się zdobyć?

- Doktorze Wescott - głos zabrał kolejny członek Rady, która składała się z szóstki kobiet i mężczyzn - może przeszkoda nie jest najważniejszym słowem. Powinniśmy raczej

powiedzieć: zastrzeżenie. Proszę wziąć pod uwagę, że mamy na myśli wyłącznie dobro chłopców.

- Dla mnie też to jest najważniejsze. - Travis mówi cicho, kryjąc irytację i lęk przed rozczarowaniem. Sprawa adopcji bliźniaków stała się dla niego istotniejsza, niż się tego spodziewał. - Jeśli chodzi o to, że jestem kawalerem, to wyjaśniałem już...

- To nie ma znaczenia - rzekł Najstarszy Rady.

Travisowi nie mieściło się w głowie, że ani instytucje rządowe, ani stanowe nie mają w takim wypadku nic do powiedzenia. Wiedział już, że Kolheekowie całkowicie kontrolują adopcję sierot pochodzących z ich małego plemienia, w którym z kolei najwyższą decyzyjną władzą jest właśnie Rada Starszych.

- Brak u twojego boku kobiety, która stałaby się dla nich matką, nie jest dla nas rozstrzygającym faktem.

Takie zdefiniowanie jego sytuacji wzbudziło w Travisie poczucie winy. Uważał, że będzie w stanie zastąpić bliźniakom oboje rodziców. Był pewny, że niczego im przy nim nie zabraknie. A jeśli owo zastrzeżenie, ów warunek, który zaskoczył go tak zniechęca, nie miał nic wspólnego z jego stanem cywilnym, to chyba należy domniemywać, że Rada podziela jego opinię. O co więc chodzi tym razem? Co dają mu do zrozumienia?

Spokój, nakazał sobie w myślach. Miesiące negocjacji z Indianami nauczyły go, że nie ma sensu ich poganiać. Swoje plany i opinie wyjawiają i tak w wybranym przez siebie czasie.

- Przedstawił nam pan swoje argumenty - odezwała się z kolei starsza kobieta. - Wierzymy, że kocha pan tych chło-

pców i że się pan o nich odpowiednio zatroszczy. Nie bez znaczenia był też dla naszej decyzji fakt, że pan sam jest półkwi Kolheekiem. Pokazał pan swoje serce i zaangażowanie, kiedy dwa lata temu chłopcy wymagali pomocy lekarskiej. Gdyby nie pan, ich serca przestałyby już bić, doktorze Wescott. Wszystko to wiemy.

- Wkrótce chłopcy skończą sześć lat - włączył się znów mężczyzna. - Znaczy to, że z każdym dniem i miesiącem, nie mówiąc już o latach, maleje ich szansa na znalezienie zastępczego domu. Jest bowiem smutną prawdą, że najwięcej próśb o adopcje dotyczy niemowlaków, a nie dorastających dzieci. A zatem chcemy oddać panu Jareda i Joshua, wierząc, że stworzycie szczęśliwą rodzinę. Nie spotkalibyśmy się tu dzisiaj, gdybyśmy byli innego zdania.

- O co zatem chodzi? - Travis patrzył im prosto w oczy i nie potrafił ukryć zniecierpliwienia. - W czym problem?

Zastraszanie Rady w jakikolwiek sposób było z góry skazane na przegraną. Starsi mieli za sobą długie, bogate życie. Poznali trud, ból i smutki, jakie nigdy nie staną się jego udziałem. Doświadczyli szczęścia i radości brzmiącej donośnym śmiechem. Znali również spokój i wyciszenie. Siedziała przed nim szóstka kobiet i mężczyzn, dostojników plemienia, najstarszych i najmądrzejszych, bo tylko takim wolno zasiadać w Radzie. Dumne twarze i wyprostowane plecy, błysk ciemnych, głęboko osadzonych oczu, odbijały jak lustra wielość i różnorodność przebytych przez nich ścieżek.

- Trudno to dobrze wyrazić - mówiła kobieta - ale niepokoi nas, że chłopcy znajdują się tak daleko od rezerwatu, od domu, od swojego plemienia.

Travis skrzywił się. To zdanie nieco go przestraszyło.

- Przecież od początku wiedzieliście, że mieszkam w Pensylwanii. Nie spodziewacie się chyba, że przeniosę się nagle do Vermont. A może do rezerwatu? Prowadzę praktykę lekarską w Filadelfii...

Kobieta pokręciła głową, uciszając rosnącą w nim panikę.

- Martwi nas, że tracą kontakt z tradycją, ze swoimi korzeniami. Z przeszłością przodków - wyjaśniała. Jej głos zmiękł, kiedy dodała: - Doktorze Wescott, przecież w tych rzeczach jest pan całkowitym ignorantem.

Zdawał sobie sprawę, że nie miała zamiaru go obrazić, a jednak najeżył się i poczuł ostro skrzytykowany. Określenie „ignorant” zupełnie do niego nie pasowało. Był zdolnym lekarzem i cenionym współautorem podręcznika, z którego korzystano na całym świecie. Zabiegano o jego udział w seminariach i konferencjach. Nie wspominając już o tym, że wiedza i determinacja pozwoliły mu niejednokrotnie ratować ludzkie życie. Myślał o tym wszystkim bez pychy, ale i bez fałszywej skromności.

A jednak, jeśli ma pozostać uczciwy, musi przystać na krytykę starej Indianki. To prawda, pojęcia nie ma o dziedzictwie rodowitych Amerykanów. Jego matka, Lila, wywodząca się z plemienia Kolheeków, opuściła rezerwat jako nastolatka, i poślubiła jego ojca. Przyjęła dobrowolnie kulturę męża, jego religię i sposób życia. Swoim dwóm synom nie wspominała ani słowem na temat swego pochodzenia. Nie wróciła do rezerwatu nawet po bolesnym rozwodzie. A zatem Travis dojrzewał, będąc dumnym młodym Amerykaninem.

- Kocham tych chłopców. - Cieszył się, że głos mu się nie załamał pod wpływem przepętniającej go emocji.

Najmniejsze ryzyko stracenia bliźniaków było stresem nie

do zniesienia. Nieczęsto w życiu zmuszony był o coś błagać. Teraz czuł, że to jedyna droga. Nie znalazł innej odpowiedzi na zarzut starej Indianki. Pragnął być dla bliźniaków możliwie najlepszym ojcem, ale nie mógł podzielić się z nimi tym, czego sam nie posiadał. Nie przekaze im wiedzy o przeszłości, której nie zna, mądrości kultury, która jest mu obca. Wzrok starej kobiety o pomarszczonej twarzy złagodniał.

- Nie wątpimy w szczerść pańskich uczuć. Wiemy, że zadba pan o to, żeby chłopcy nie byli głodni i mieli co na siebie włożyć. Że zatroszczy się pan o ich bezpieczeństwo i edukację. - Nabrała powietrza, unosząc lekko brodę. - Ale oni potrzebują czegoś więcej.

- Stan zdrowia zmuszał ich dotąd do mieszkania w państwowym domu dziecka - podjął wątek mężczyzna. - Co za tym idzie, podobnie jak pan, nie mieli okazji poznać tradycji swoich współplemieńców. Kolheek to dla nich puste słowo. Potrzebują więc kontaktu z przeszłością. Mamy tu kogoś, kto im to zapewni. To nasza szamanka.

Diana Chapman czekała przed pomieszczeniem, w którym zebrala się Rada Starszych. Nie miała najmniejszej ochoty spędzić dwóch-miesięcy w domu doktora Wescotta, zwłaszcza że nie był żonaty. Wreszcie, po długich namowach własnej babki, która miała znaczący głos w Radzie, zgodziła się podjąć tę wyprawę. Zadaniem Diany miało być przygotowanie bliźniaków do ceremonii nadania im indiańskich imion. Gdyby ta prośba wyszła od innego członka Rady, też by ją rozważyła. A babkę kochała całym sercem i poruszyłaby niebo i ziemię, by sprawić radość tej kobiecie, która ją wychowała.

Diana wiedziała, że doktorowi dobrze się powodzi i bez trudu wychowa i wykształci chłopców. W dodatku w jego żyłach płynęła krew Kolheeków. Wszystko to przechyliło szalę na jego korzyść i skłoniło Radę, by oddać dzieci człowiekowi spoza rezerwatu. Najbardziej niepokoiło więc Dianę co innego: fakt, że nie było w domu Trávisa innej kobiety. Dopiero co odchorowała własny rozwód i myśl o zamieszkaniu pod jednym dachem z samotnym mężczyzną stała się dla niej utrapieniem. Od powrotu do rezerwatu dziesięć miesięcy wcześniej nie mogła opędzić się od samotnych mężczyzn, nawet gdy wypuszczała się poza rezerwat. Odrzuciła chyba więcej propozycji randek niż jest piór na świątecznym indyku, zanim znajdzie się na stole. Na dodatek mężczyźni z zasady nie przyjmują odmowy, nie wiedzieć czemu cierpi na tym ich duma.

Babka wyśmiała obawy Diany, mówiąc, że lęk przed załotami lekarza jest na wyrost, jak obawa przed procentami od pożyczki, której może nigdy nie otrzymać. Zresztą ufała, że wnuczka doskonale poradzi sobie w każdej sytuacji.

- W razie czego po prostu rozmów się z nim otwarcie - poradziła. — Tak jak z innymi.

Diana postanowiła zatem pomóc bliźniakom, trzymając się równocześnie z daleka od Trávisa. Nie miała jednak pojęcia, jak on zareaguje na warunek Rady, czyli na jej obecność. Czy w ogóle zgodzi się dzielić dach nad głową z jakąś indiańską szamanką? Mężczyźni z trudem akceptują cudze pomysły. Diana uniosła kąciki ust w uśmiechu. Wyobraziła sobie babkę i od razu nabrała pewności, że ta zadziwiająca kobieta przekona także Trávisa.

Rozmyślania przerwało jej nagłe otwarcie drzwi. Poproszono ją do środka.

Atmosfera była gęsta i wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że Travis Wescott jest niezadowolony - i to bardzo. Jego wysokie czoło przecinała głęboka bruzda, co nie przeszkodziło Dianie uznać, że jest przystojny. I natychmiast kolana jej zmiękły, dopadły skurcze żołądka. Zaskoczyło ją to zdenerwowanie. Nie wiedziała, czy zareagowała tak na urodę mężczyzny, czy tylko na jego stan psychiczny.

Skarciła się w myślach, wyprostowała. Żaden mężczyzna, niezadowolony czy przystojny, nie zbije jej z pantafelku.

Tymczasem on, badawczo przyglądając się jej twarzy czarnymi jak węgiel oczami, jakby odzyskiwał spokój. W jego spojrzeniu pojawiło się zdziwienie, a może zainteresowanie lub czysta ciekawość. Tego Diana nie potrafiła odgadnąć, ale też nie miała takiego zamiaru. Zaciśnięta usta i odwróciła wzrok, przenosząc uwagę na Radę Starszych, a zwłaszcza na babkę, która zaczęła właśnie mówić.

- Doktorze Wescott, przedstawiam panu moją wnuczkę, Dianę Chapman. Dianko, to doktor Wescott.

Travis zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę. Jego uścisk był mocny, a ciepła dłoń pozwalała czuć się przy nim bezpiecznie. Diana omal nie odskoczyła na tę myśl. Skąd przyszło jej do głowy to słowo? Nie miała jednak teraz czasu zastanawiać się nad tym.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu - odezwał się. Uśmiechnęła się oficjalnie.

- Pod warunkiem, że mi się pan odwzajemni. Przytaknęła, nieco zbyt długo przytrzymując jej dłoń. Kiedy ją puścił, ogarnął ją dziwny, nieprzyjemny chłód.

- Gratuluję szczęśliwego zakończenia sprawy - powiedziała.



- Dziękuję - odparł i dodał: - Mam nadzieję, że jest szczęśliwe.

Nie wiedziała, czy drażni się z nią, czy wciąż nękają go jakieś wątpliwości. A może buntował się przeciw jej towarzystwu, które zostało mu narzucone?

- Jeszcze nie mam pewności, czy to już szczęśliwy koniec - odezwał się ponownie.

- Ależ na pewno...

Diana odwróciła się w stronę babki, która właśnie się wtrąciła:

- Adopcja jest faktem dokonany. Teraz, kiedy zaakceptował pan pomoc wnuczki, z radością oddamy dzieci w pańskie ręce.

Doktor promieniał, zauważyła Diana, ale już po chwili znowu zmarszczył brwi.

- Na jak długo? - spytał.

To pytanie wprawiło członków Rady w nie lada konsternację. Wreszcie w ich imieniu zabrała głos babka Diany.

- Na zawsze - powiedziała. - A przynajmniej do pełnoletności chłopców.

- Nie chodzi mi o Jareda i Josha - rzekł. - Nie chciałbym urazić pani Chapman...

- Diany - przypomniała mu, mając nadzieję, że zwracanie się do siebie po imieniu nie będzie oznaczało zbytnej zażyłości.

Travis spojrzął na nią z lekkim uśmiechem. Zdała sobie wówczas sprawę, że jeśli doczeka się jego prawdziwego uśmiechu, ta twarz z przystojnej zamieni się w nieodparcie urzekającą. On tymczasem skupił wzrok na jej babce.

- Jak długo powinienem waszym zdaniem... -Zmieształ

się i zawahał przez krótki, niezręczny moment, aż wybrnął z tego wprost: - Jak długo zostanie z nami Diana?

- Za dwa miesiące chłopcy skończą sześć lat - wyjaśniła stara kobieta. - Według tradycji Kolheeków tego właśnie dnia, albo około tej daty, odbywa się ceremonia chrztu.

Diana zauważyła, jak Travis potrząsa głową.

- Przecież oni mają imiona.

- Ale nie indiańskie.

- Dawniej - Diana pospieszyła z informacją, czując, że lepiej mu to wytłumaczy - była ogromna umieralność niemowląt. Dlatego rodzice woleli poczekać...

- Tak to sobie racjonalizują profesorowie od naszej kultury w szkołach i na uniwersytetach - przerwała jej babka z dezaprobatą. - Prawda jest taka, że zdaniem Kolheeków trzeba dać dziecku czas na to, żeby rozwinęło swoją osobowość, zanim wybierze się dla niego imię.

Diana uśmiechnęła się pod nosem. Nie po raz pierwszy starła się z babką na temat różnicy między praktyką a teorią, czyli na temat jej studiów nad kulturą Kolheeków.

- Babciu, właśnie zamierzałam to powiedzieć.

- Wiem. Ale nie ma czasu, pan doktor na pewno chciałby już zabrać swoich chłopców.

Tym razem Travis uśmiechnął się do Starszych. Diana stała za jego plecami, mogła więc tylko odczuć ten uśmiech przez skórę i wyobrazić sobie twarz mężczyzny. Miała wrażenie, że coś jej odebrano.

Na koniec ponownie odezwała się babka, tyle że już nie tak osobiście i bezpośrednio jak przed chwilą. Diana wiedziała, że w taki sposób wygłaszane są oświadczenia Rady.

- Nasza szamanka pozostanie z doktorem i bliźniakami

do czasu, kiedy uzna, że nadeszła pora, by nadać im indiańskie imiona. Przekaze chłopcom wszystko to, co sama wie o Kolheekach, nauczy ich, co znaczy być częścią naszego narodu. Przygotuje Jareda i Josha do ceremonii chrztu i poprowadzi ową ceremonię. - Po niezauważalnej niemal przerwie dodała jeszcze: - Potem zobaczymy, co przyniesie los.

Diana popatrzyła na babkę z niepokojem, bo jej ostatnie słowa stanowiły szczególną niewiadomą.

Samolotem do Filadelfii jedni lecieli w interesach, inni na wakacje. Travis nie dostrzegął jednak nikogo prócz dwu małych pasażerów siedzących obok niego. Jared i Josh przepychali się do okna, był to ich pierwszy w życiu lot. Jednak kiedy Jaredowi nie zamykała się buzia, Josh, milcząc, pochłaniał wszystko wielkimi oczami.

Travis patrzył na nich z rosnącą dumą i miłością. Sądził wcześniej, że miłość ojcowska potrzebuje czasu, tymczasem odkrył ją natychmiast po odebraniu chłopców z sierocińca.

I dla nich też nie był obcy. Przed operacją bliźniaków, o którą zawzięcie zabiegał, odwiedzał ich dwukrotnie. Później, kiedy zaczął starać się o adopcję, widywał ich regularnie. Dla obu stron zatem stres związany z wyjazdem i początkiem nowego życia nie był tak ogromny. Co prawda Jared i Josh wciąż mówili do niego „panie doktorze”, ale on i tak nie mógł z emocji wypowiedzieć słowa, gdy widział, jak zareagowali na informację o tym, że Travis zabiera ich do domu.

Jared otwarcie akceptował nową sytuację, cieszył się i tylko domagał się potwierdzenia, że Travis naprawdę zostanie jego ojcem. Travisa w tym momencie kompletnie sparaliżowało wzruszenie, potwierdził więc jedynie kiwnięciem głowy.

Josh z kolei znacząco milczał, tylko jego ogromne brązowe oczy błyszczały jakoś inaczej niż zwykle. Travis nie wiedział jednak, co się za tym kryje, być może była to nieufność oraz lęk przed nieznanym. Pragnął pocieszyć chłopca serdecznym uściskiem, obawiał się jednak podświadomie, że taka bliskość byłaby przedwczesna i mogłaby wręcz spotęgować strach dziecka.

- Będzie świetnie, zobaczysz - przekonywał Josha Jared, obejmując go za ramię.

Ale i on, mimo pewnej siebie miny, nie był wolny od obaw. Travis najchętniej przytuliłby obu bliźniaków, mówiąc, że nie powinni się martwić. Powstrzymał się jednak, pamiętając powiedzenie, iż Rzymu także nie zbudowano w jeden dzień.

Skromny bagaż chłopców zmieścił się w jednej walizce, za to pełne łez pożegnanie z przyjaciółmi z sierocińca przeciągnęło się do pół godziny. Travis nie przeszkadzał im do ostatniej chwili. W końcu opuszczali dom, w którym spędzili pierwsze pięć lat swojego życia.

Perspektywa lotu i samochodowych szusów na autostradzie wzbudziła ogromny entuzjazm Jareda. Josh czuł podobnie, choć z jakiegoś powodu starał się tego nie okazywać. Tkwili teraz obaj z nosami przyklejonymi do małego samolotowego okienka, a Travis w milczeniu cieszył się z zakończonej niemal idealnym sukcesem wyprawy do rezerwatu. Wracał do domu z dziećmi...

No właśnie, nie tylko z nimi. Westchnął głęboko. Mężczyły go wątpliwości. Nie był nawet zły, że zgodził się na obecność Diany przez kilka miesięcy. Kolheekowie mieli rację, chłopcy nie mogą odcinać się całkiem od korzeni. Byli w wieku, kiedy jest się niezwykle chłonnym, i lepiej dla nich, jeśli

ulegną pozytywnym, związanym z własną kulturą wpływom. On, niestety, nie może im tego sam zapewnić.

Diana siedziała w pobliżu. Podniósł wzrok i zobaczył jej proste, czarne jak noc włosy spływające wzdłuż smagłej twarzy, jej szlachetnie uwypuklone kości policzkowe i idealnie wyrzeźbiony nos.

Czemu tak go niepokoiła? Czy dlatego, że była szamanką? Kimś, kto żyje w świecie tak dla niego obcym? Czy też wyłącznie z tego powodu, że mu ją narzucono? Była jeszcze jedna, wypychana ze świadomości możliwość. Diana Chapman zaniepokoiła go swoją trudną do opisanego urodą.

Odwróciła się, jej orzechowe oczy spotkały jego spojrzenie, nie wiadomo które już od czasu, gdy wsiedli na pokład samolotu. Tym razem poczuł się nieswojo, skrępowanie ciążyło mu jak duchota. Szlachetność Diany czyniła go nieokrzesanym prostakiem.

Niewygodna cisza wypełniła dzielącą ich przestrzeń. Zaciśnij! pięść, by nie poprawić kołnierzyka czy też podrapać się nerwowo. Jej spokój, jakiś patrycjuszowski niemal sposób bycia, sprawiał, że czuł się piekielnie nieswojo. Odezwił się, idioto, podpowiadał mu jakiś wewnętrzny głos, popychał go jak kijem. Odezwił się i przełam tę ciszę.

- Więc... - Jakże nienawidził tego swojego oschłego tonu. - Czym właściwie zajmuje się szamanką?

Diana zeszytniała. Kiedy opuściła rezerwat z powodu studiów w college'u w południowej Kalifornii, nie przyznała się nikomu, że przygotowywano ją do roli szamanki Kolheeków. Brzmiało to tak archaicznie! A dla tych, którzy nie znają kultury Indian, już sama nazwa stanowiła jedynie temat do żartów i ledwie kamuflowanej drwiny.

Zastanawiała się teraz, czy pytanie Trvisa wywołała niechęć, czy prawdziwą ciekawość.

Podczas podróży z rezerwatu do Iron Hill, gdzie mieścił się sierociniec, Travis odzywał się do niej tylko sporadycznie. Była na drugim planie i tam też pozostała, gdy dzielił się z chłopcami dobrą wiadomością. Widziała radość Jareda i milczenie Josha. Została wreszcie im przedstawiona. „Ta pani z rezerwatu pomieszka z nami jakiś czas”, powiedział Travis, a ona nie poczuła się tym urażona. W końcu mówił prawdę...

W samochodzie, w drodze na lotnisko, Jared zasypywał ich pytaniami. Chciał znać rozmiary samolotu, wiedzieć, na jakiej wysokości polecą, a także, czy na pokładzie dadzą im coś do jedzenia. Jego wyrzucane z siebie prędko słowa dźwięczały jak dzwonek o wysokim tonie. Diana była pod wrażeniem cierpliwości, z jaką Travis to znosił.

- Łatwiej byłoby powiedzieć, czego szamani nie robią - zaczęła, nie znajdując w oczach Trvisa cienia ironii.

Zorientował się od razu, że jej nie oszuka. Wiedziała, że pytanie nie było ważne samo w sobie, że pragnął tylko jakoś nawiązać kontakt. Uśmiechał się przy tym w taki sposób, że zabrakło jej tchu i nie mogła się pozbierać. Czuła pustkę w głowie i nieopanowany pęd serca.

- Czyli jesteś takim człowiekiem do wszystkiego? - przerwał jej chaotyczne myśli.

Walczyła ze sobą, by odzyskać równowagę i spokój. Zapomniała, o czym właściwie rozmawiali. Wzięta głęboki, oczyszczający oddech i jakoś doszła do siebie.

Aha, chodzi o jej zajęcie. Pytał, na czym polegają jej obowiązki.

- Prawdę mówiąc... robię rzeczywiście wszystko. Prowadzę uroczystości, modłę się za chorych. Pomagam alkoholikom i samotnym matkom, doradzam małżeństwom w kryzysie. Przyjmuję na świat dzieci. Stawiam diagnozy i zapisuję leki...

- Jesteś położną? I przepisujesz lekarstwa?

- Tak - odrzekła z półuśmiechem. - Noworodki pewnie dałyby sobie radę beze mnie. Natomiast chorym zalecam głównie zioła. Jestem lekarzem holistycznym. Mam tytuł doktora naturopatii, poświadczony przez władze stanu Vermont.

- Czyli jesteś lekarzem *bona fide*?

Mówił to poważnie, co przyjęła z ulgą. Przytaknęła.

- No no, pojęcia nie miałem.

Zdawało jej się, że były w tych słowach przeprosiny. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Chyba nie spodziewałaś się, że palę fajkę pokoju przystrojona w pióropusz?

Żartem udało jej się przełamać nieco atmosferę nieufności.

- Mam, oczywiście - kontynuowała - rozmaite, konieczne do różnych obrzędów narzędzia i sprzęty. Wzięłam je na święto chłopców, ale nie korzystam z nich na co dzień.

Na szczęście nie dosłyszała stłumionego chichotu.

- Muszę przyznać, że kiedy Rada wspomniała o szamance, nie wiedziałem, czego się spodziewać.

- Zazwyczaj szaman Kolheeków...

- A nie szamanka?

Zaśmiała się, bo czuła, że ta pozornie szowinistyczna uwaga wcale nie jest kpina.

- Jakoś nie bardzo dbam o tak zwaną polityczną poprą-

wność - wyjaśniła. - Nie jestem też radykalną feministką.  
- Zauważyła jego zdziwienie i dodała: - Życie wśród Kolheeków nauczyło mnie, kto naprawdę rządzi.

Jego uśmiech zbladł. Travis nie był pewien, co znaczy to stwierdzenie. Diana znajdowała wyraźną przyjemność we wprowadzaniu go w zakłopotanie i zostawiała ciągle znaki zapytania.

- W normalnych warunkach - ciągnęła - zostałabym praktykantką u jakiegoś doświadczonego szamana. Od niego uczyłabym się wszystkiego bez konieczności opuszczania rezerwatu. Ale ja chciałam czegoś więcej, wykształcenia. Moja babka wyraziła na to zgodę, a więc poszłam najpierw do college'u, a potem do szkoły medycznej.

- A gdyby protestowała?

Diana wzruszyła delikatnie jednym ramieniem.

- To chyba niemożliwe. To bardzo mądra kobieta. Widzi, jak niewiele ma do zaoferowania rezerwat. Mamy tam już zresztą dwóch lekarzy rodzinnych, a nasze plemię nie jest zbyt liczne. Za małe w każdym razie, aby wyżywić trójkę lekarzy. Babka wiedziała, że będę musiała znaleźć dla siebie jakąś inną drogę.

- Inną drogę? Chcesz opuścić...?

- Nie, nie - pospieszyła z zapewnieniem. - Jestem przede wszystkim szamanką Kolheeków. Ale muszę też jakoś się utrzymać, co może pewnego dnia zmusić mnie do przekroczenia granic rezerwatu.

- Rozumiem. - Skontrolował wzrokiem bliźniaków i wrócił do niej spojrzeniem. - Co czujesz na myśl o opuszczeniu domu i babki?

Diana odwróciła na moment głowę, zwilżyła wargi.



- Bardzo ją kocham. Wychowała mnie. Ale czyż nie jest tak, że ptaki wylatują któregoś dnia z rodzinnego gniazda?

Nie dodała, że kiedyś już to zrobiła. Wyszła za męża i osiadła w Kalifornii. Nie było to dla niej szczęśliwe miejsce. Zraniona, z podciętymi skrzydłami, wróciła do domu.

- Musicie być sobie wyjątkowo bliskie.

- Tak - odparła, a z tej lakonicznej odpowiedzi emanowało ciepło. Będzie tęskniła za babką, ale zrobi wszystko, by zasłużyć na jej uznanie. Jared i Josh poznają, co znaczy należeć do plemienia Kolheeków. A ona znajdzie w tym zadaniu powód do dumy.

Tymczasem Travis zmarszczył czoło, jakby przypomniał sobie właśnie coś przykrego.

- Może ty pomożesz mi coś zrozumieć. Chodzi mi o ostatnie słowa twojej babki, to tajemnicze zdanie, którym mnie pożegnała. O losie i o tym, co ma dla nas w zanadru.

Niepokój Trávisa udzielił się Dianie. Empatia ogarnęła ją jak słoneczne ciepło, które niczym kotdra kładzie się każdego lata na górach Nowej Anglii.

- Chyba nie pozwoliłaby mi być z chłopcami tylko po to, żeby ich odebrać, kiedy odejdziesz z naszego domu?

Najpierw, trochę się zdenerwował, potem ogarnęły go poważne obawy. Dianę bardzo to zabolowało. Wtedy w jej głowie zadźwięczały znajome dzwoneczki, przed oczami zobaczyła ostrzegawcze czerwone chorągiewki, powiewające energicznie.

Nie wolno jej dzielić zmartwień tego mężczyzny ani przejmować się jego reakcjami. To nie jej sprawa, nic ją to nie obchodzi.

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

Zobaczmy, co przyniesie los.

Słowa babki nie dawały jednak Dianie spokoju - od wyjazdu z rezerwatu powracały do niej jak bumerang. Już usłyszawszy je po raz pierwszy, zaniepokoiła się, podobnie jak Travis.

Początkowo przypuszczała, że to ona jest ich adresatką, i próbowała odcyfrować wiadomość przekazaną przez babkę w tej formie. Potem zaczęła się jednak wahać, czy Travis przypadkiem nie ma racji. Czy czasem nie słusznie odczytuje w stwierdzeniu babki jakąś złą wróżbę dla siebie? Babka Ttiogła go w ten sposób na przykład ostrzegać. Tak, to ma sens. Ale jeśli to prawda, było to okrutne z jej strony. Travis ma wyłącznie dobre, uczciwe zamiary. Teraz zaczęło go prześladować podejrzenie, że straci chłopców.

Diana współczuła Travisowi. Potrzebował wsparcia. Jego twarz i wyraziste ciemne oczy przykrył cień.

- O ile wiem, Rada nigdy dotąd nie zmieniała swoich decyzji - rzekła uspokajająco. - Złożyli ci dzisiaj obietnicę, powiedzieli, że chcą, żebyś stworzył z chłopcami rodzinę. Dla Kolheeków słowo ma wielką wagę: wiąże się z nim honor, duma, prawość. Uczciwy jest ten, kto dotrzymuje słowa. Nie wierzę...

Jej głos załamał się, przygryzła wargi. Pragnęła dodać mu otuchy, ale nie mogła go przy tym okłamywać.

- Muszę jednak być z tobą szczerą. Twoja sytuacja jest wyjątkowa, nie spotkałam się jeszcze z podobną. Niewątpliwie Rada bardzo martwi się o chłopców, o to, że znajdują się z dala od rezerwatu, a także o to, że żyjesz samotnie. - Westchnęła. - A zatem, póki nie dostaniesz do ręki podpisanych przez wszystkich członków Rady papierów adopcyjnych, chyba wszystko może się zdarzyć.

- Świetnie - powiedział spokojnie, bardziej do siebie niż do kogo innego.

Diana nie mogła tego tak zostawić.

- No, ale powiedzieli wyraźnie, że chcą, żeby chłopcy z tobą zamieszkali.

- Tylko dwóch członków Rady ze mną rozmawiało - przypomniał jej.

- Mówili w imieniu wszystkich. Gdyby ktokolwiek z nich miał inne zdanie, z pewnością byś to usłyszał.

Wymruczał coś z wdzięcznością za pociechę. Uśmiechnęła się, czując początek kolejnej rewolucji w żołądku.

Nagle nad głową Trvisa przeleciała plastikowa rurka, przez którą chłopcy pili wodę mineralną, i wylądowała na niebieskim dywanie oddzielającym siedzenia Trvisa i Diany. Diana pochyliła się, by ją podnieść. Travis łagodnie skarcił dzieci i wziął rurkę. Kiedy przelotnie dotknął jej ręki, poczuła ciepło jego palców. Przebiegł ją dreszcz, ale na pewno nie z zimna. Spojrzała na jego mocną dłoń i ładny profil. Szczęśliwie dla niej Travis zajęty był akurat czym innym. Kręcił się, tłumacząc coś chłopcom, i nie zwrócił uwagi, jak gwałtownie zareagowała na ten ulotny kontakt.

Zacisnęła pięści i uwięziła je na kolanach. Właśnie stało się coś, czego się tak obawiała. Nie chciała ulec wpływowi Trávisa. Mężczyźni sprawiają zbyt dużo bólu. Nieznośnie upokarzają. Celem jej wyjazdu jest kształcenie bliźniaków i nic ponadto. Może co najwyżej uśmierzyć lęki Trávisa związane z adopcją. Postara się też, by chłopcy czuli się dobrze z nowym ojcem i doktor Wescott będzie ją interesował wyłącznie w ścisłym związku z nimi.

Z pewnością nie tylko jej wydawał się przystojny. Jego inteligentne oczy, dość długie lśniące włosy i zmysłowe usta musiały zwracać uwagę niejednej kobiety. A że i w niej budziły zmysły...

Przestanie o tym myśleć. Zresztą, to czysto zwierzęca, fizjologiczna reakcja, nic nadzwyczajnego. W końcu kto jak kto, ale ona to wie.

Na horyzoncie pojawił się steward, instruując pasażerów, by podnieśli oparcia foteli, i zebrał brudne serwetki i puszki po napojach. Zbliźali się do lądowania. Diana była tak pogrążona w myślach, że działania stewarda kompletnie uszły jej uwagi.

Cieszyła się, że tak szybko uświadomiła sobie, co czuje do Trávisa. Miała do czynienia z zupełnie naturalnym odruchem. Fizyczną fascynacją, a zatem czymś, co absolutnie będzie pod jej kontrolą, jeśli tylko pozostanie czujna. Kiedy znów zwróciła spojrzenie na świeżo upieczonego ojca, przypiął akurat pas do siedzenia jednego z synów. Zobaczyła tylko tył jego głowy, szerokie ramiona i plecy.

Ja tu pociągam za sznurki, powtórzyła sobie, I pewną ręką trzymam ster.

Chłopcy myszkowali po nowym domu w wielkim podnieceniu. Zglądali w każdy kąt mieszkania i podwórka. Kilka lat wcześniej udało się Travisowi kupić stary solidny dom wraz ze sporym kawałkiem mocno zadrzewionej ziemi. Idealne miejsce dla dzieci, choć dokonując transakcji, w ogóle nie brał tego pod uwagę. Ostatnia rzecz, jakiej się po sobie spodziewał, to właśnie to, że założy rodzinę. Był zatwardziałym kawalerem i nie myślał o potomstwie.

Wszystko zmieniło się pół roku wcześniej. Podczas kolejnych odwiedzin u bliźniaków, kiedy pojawił się u nich jedynie po to, by sprawdzić stan ich zdrowia, zabrać ich na obiad i kupić im przy okazji parę ubrań i zabawek. Personel sierocińca przebąkiwał coś wówczas pod nosem o „przekroczeniu wieku adopcyjnego” i „niechcianych dzieciach specjalnej troski”. Określenia te podejrzanie często obijały mu się o uszy. Kierownik sierocińca przyznał, że rozpatrywali również możliwość rozdzielenia bliźniaków, wtedy może ich szansa na znalezienie nowych rodziców byłaby większa. Te słowa zagnieździły się w umyśle Trávisa i nie dawały mu spokoju, aż wpadł na pomysł, że przecież sam mógłby chłopców usynowić.

Przyjaciele i współpracownicy Trávisa, Greg i Sloan, doszli do wniosku, że najzwyczajniej zwariował, kiedy po raz pierwszy przedstawił im plan zostania ojcem dwóch małych indiańskich chłopców. Nie potrafili go jednak powstrzymać, tak silnie przemawiała do niego pogarszająca się z dnia na dzień sytuacja Josha i Jareda. Coś mu mówiło, że wychowanie bliźniaków jest mu przeznaczone. Czuł to niemal fizycznie. Dzięki Bogu, że zdołał znaleźć słowa, które przekonały Kolheeków, iż powinien zabrać ich do Filadelfii.

Miał rację, stwierdził teraz, słuchając dochodzących z sypialni na górze pisków i stukotów. To miejsce należy do nich trzech. Obecność chłopców warta była wszystkich trudów i poświęceń, jakie przyszło mu ponieść, by się tu znaleźli.

A jednak pożegnalna sentencja babki Diany nie przestała go męczyć. Czyżby pozwolono mu obdarzyć te dzieci miłością po to tylko, by mu je odebrać zaledwie po paru miesiącach? Uciekał od tej myśli, była zbyt bolesna, a więc odciął się od niej ostatecznie i odrzucił ją daleko od siebie.

Wszedł na górę i zastukał do sypialni chłopców. Hałasy za drzwiami natychmiast ustały. Nacisnął klamkę.

Ze zdumieniem ujrzał splątane i zgniecione koce i kapy z łóżek. Jared stał na jednym z materaców i trzymał gotową do rzutu w stronę brata poduszkę. Wystarczyło jedno spojrzenie na Trávisa, by wypuścić ją z rąk. Upadła na materac, odbijając się raz jak piłka, zanim znalazła się na stosie koców i prześcieradeł. Jared powoli usiadł obok Josha, który miał szeroko otwarte z przerażenia oczy.

- Przepraszam - rzekł cicho Jared. - Tylko się bawiliśmy.

Travisowi nawet nie przyszło do głowy, by na nich krzyczeć. Na twarzy Josha malował się wielki strach, który kazał Travisowi domyślać się, że za podobne wyczyny spotykała bliźniaków w sierocińcu jakaś okrutna kara.

- Ja też walczyłem z bratem na poduszki, kiedy byliśmy, mali - powiedział, poprawiając pościel.

- Naprawdę? - Widząc, że Travis się nie gniewa, Jared uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak. To świetna zabawa. - Travis wygładził dłonią koc.

- Ale teraz jest już późno. Musicie się wyspać.

- Nie jesteśmy ani trochę zmęczeni - zaprotestował Ja-

red, przeskakując z łóżka Josha na własne i wślizgując się mimo wszystko pod kołdrę.

- Zawsze tak się wydaje w nowym miejscu. - Travis podniósł poduszkę, która zawieruszyła się na łóżku Josha, klepnął ją i włożył pod głowę drugiego bliźniaka. - Ale jeśli tylko poleżycie chwilę spokojnie, na pewno szybko zaśniecie.

Zabrał się następnie za postanie Josha, który badawczo mu się przyglądał, aż wreszcie oznajmił:

- Tu jest cicho.

Travis uśmiechnął się i przykrył mu nogi kocem. Nie wiedział, co chłopiec ma na myśli.

- W sierocińcu zawsze płacze Sammy - wyjaśnił Jared.

- A pani Basset włącza w nocy telewizor na cały regulator. Mówi, że to przez nas nie słyszy, co mówią w telewizji. Bardzo się złości i robi się czerwona na twarzy.

- Aha - odezwał się Travis, rozumiejąc już, że chłopcy wyjaśniają mu różnicę między wieczorem w sierocińcu a w nowym domu.

- Pani Basset krzyczy - dodał Josh cichutko. - Nie pozwoliła nam razem spać. Każdy musiał spać w swoim łóżku.

W sierocińcu mieszkali prócz nich co najmniej dwa tuziny dzieci, bliźniacy byli więc przyzwyczajeni do nieustannego szumu i chaosu. Nowe miejsce było przeciwieństwem ich poprzedniego domu. I z pewnością, przypuszczał Travis, nie od razu do niego przywykną.

- Chciałbyś spać z Jaredem?

Josh przetknął ślinę, zamrugnął niezdecydowany, wreszcie milcząco przytaknął. Travis spojrzał ponad nim na Jareda, uniósł koc Josha i machnął ręką zapraszającym gestem.

- Nie martwcie się. Przywykniecie do ciszy, to bardzo miła rzecz.

Jared wskoczył na łóżko brata.

- Sie nam nie chce spać - powtórzył.

- Nie chce nam się spać. - Travis nie mógł się powstrzymać i poprawił niegramatyczne zdanie. - Uwierzcie mi, jak tylko poleżycie w spokoju...

- Może wam coś opowiedzieć na dobranoc?

Travis odwrócił głowę w stronę drzwi, skąd dochodził miękki, kobiecy głos.

Diana miała na sobie zwykłą białą sukienkę przewiązaną w pasie. Światło połyskiwało na jej prostych, przerzuconych przez ramię włosach. Zgrzebny materiał sukni podkreślał miedzianą cerę odsłoniętych ramion i nóg. Travis od razu zauważył jej nogi, kształtne kolana i łydki, drobne kostki. Stopy też miała zgrabne.

Tak się przestraszył własnych myśli, że omiótł pomieszczenie rozbieganym wzrokiem, zanim znów mógł spojrzeć jej w twarz. Przeklął w duchu, nie miał zamiaru w ten sposób patrzeć na tę kobietę. Jest jednak tylko człowiekiem, w dodatku mężczyzną, a buzujący w jego żyłach testosteron usprawiedliwia chyba rejestrowanie okiem kobiecego ciała...

- Ty... - zachrypiął, bo zaszczoło mu w gardle. Odsunął na bezpieczną odległość karkołomne myśli i spróbował ponownie. - Chciałaś opowiedzieć im bajkę?

Pokiwała głową, a jej pełne usta wygięły się w uśmiechu. Czuł, jak serce objaja mu się mu o zebra. Tak chętnie by ją pocałował!

- Zdaje się, że Jared i Josh potrzebują trochę lekarstwa



na uspokojenie - zażartowała. - Żebym mogła w ogóle zasnąć.

Popatrzył na nią zdumiony.

- Lekarstwa?

O mały włos się nie zakrztusiła, dusząc w zarodku wybuch śmiechu. Jej głos był przytulny jak aksamit i słodki jak deser. Była po prostu... za bardzo pociągająca!

Trzymaj się, stary, nakazał sobie w milczeniu.

- Nie bój się - powiedziała. - Nie wciskam im żadnych tabletek. Myślałam tylko o dobrej, staromodnej rozrywce, przeznaczonej specjalnie dla... - zerknęła najpierw na Jareda, potem na Josha - małych chłopców.

Przysiadła na skraju łóżka. Travis poczuł jej świeży, lekko cytrynowy zapach.

- Dawno, dawno temu - zaczęła - zanim wymyślono papier i ołówki, ludzie przekazywali sobie historie z przeszłości poprzez ustne opowieści. Wieczorami siadali wokół ogniska i przy blasku świecących nad nimi gwiazd opowiadali dzieciom, skąd wzięty się na świecie. Były to historie o dzielnych wojownikach i myśliwych, o dawno minionych czasach. A także o nadziejach i marzeniach na przyszłość. Mówili dzieciom o powodziach, pożarach i innych aktach natury, które ukształtowały ich plemię. Szaman ożywiał słowami toczony przez nich walki. Wojny z innymi plemionami o prawo do polowania na danym kawałku ziemi, wojny z Europejczykami. Dzieci poznawały też dobre czasy, kiedy plony były obfite, a polowania udane. Dowiadywały się także o trudnych zmaganiach z zimą i śnieżycą, kiedy nie można było polować. Poznawały wielkich wodzów i niezwykłych przywódców.

Travis patrzył na chłopców. Opowieść Diany całkowicie nimi zawładnęła. Usiadł na łóżku Josha, uważając, by przypadkiem nie dotykać kolanami nóg Diany. Była tak blisko. Wkrótce i on, podziwiając jej pełne wyrazu oczy, znalazł się w świecie, który wyczarowała słowami, głosem łagodnym i kołyszącym do snu. Poznał, co znaczy uspokajające działanie opowieści.

- Pewien wódz - ciągnęła - nazywał się Półksiężyc. Imię to wziął od szramy o takim właśnie kształcie, którą miał na twarzy. - Energicznie dotknęła dłonią lewej kości policzkowej. - Kiedy był małym chłopcem, dostał się niechcący na wybieg pełen dzikich koni. Jego matka mogła tylko bezradnie przyglądać się spanikowanym wierzchowcom, które stawały dęba, wrywały się i skakały jak szalone. W końcu rzuciły się z kopytami na ogrodzenie i przewróciły je. Półksiężyc o mały włos nie stracił wtedy życia. To był cud, że tak się nie stało, mówiono. Wyszedł z wybiegu na własnych nogach. Jeden z koni kopnął go tylko w twarz, ale niezbyt silnie, została mu jedynie ta skaza. W całym plemienu panowało przekonanie, że żadne inne dziecko nie przeżyłoby takiej przygody. Znaczyło to, że Półksiężyc znajdował się pod szczególną opieką i że wyrośnie na dzielnego, mądrego człowieka, który zostanie kiedyś ich wodzem.

Magiczne słowa Diany pochłaniały słuchaczy coraz bardziej. Jej oczy tańczyły, głos dramatycznie wznosił się opadł. Czuło się, że opowiada to nie po raz pierwszy, że historia jej ludu fascynuje ją, i że opowiadając - niezależnie od tego, ile było w tym prawdy, a ile zmyślenia - celebrowała z dumą swoją tradycję. Z jej twarzy bił blask.

Travis przeniósł wzrok na bliźniaków. Byli niczym

w transie, całkowicie urzeczeni przez porywającą narratorkę. Widząc zafrapowanie w ich oczach, Travis był więcej niż pewny, że obecność Diany była chłopcom bardzo potrzebna.

- Półksiężyc dorósł - mówiła dalej. - I nie zawiódł nadziei swojego ludu. Był wielkim wodzem. Przerastał innych mądrością. To on prowadził najważniejsze dla Indian rozmowy. Wiedział, że Europejczycy zostaną na naszej ziemi i wkrótce będzie ich dużo więcej niż nas, starał się więc zapewnić nam dom. Zebrał swój lud i poprowadził do miejsca zwanego dziś Vermont. Kolheekowie, Ludzie Dymu, czyli wasi współplemieńcy, przetrwali do dziś właśnie dzięki temu, że Półksiężyc wybrał pokojowe rozmowy, a nie krwawą wojnę.

Siedziała dumnie, prosta jak strzała, ze ściągniętymi ramionami i z uniesioną brodą. Nie było w tym arogancji, a raczej jakiś niedzisiejszy szacunek do własnej osoby. Travis musiał uczciwie przyznać, że to też niezwykle go w niej pociągało.

Drobny ruch na skraju pola jego widzenia kazał mu skierować spojrzenie w dół. Siła przyciągania poruszyła obrąbkiem jej sukni, rozchylając rozcięcie, które odkryło fragment śniadego uda. Rozpalony widokiem doskonale ukształtowanych mięśni, Travis poczuł ostry, acz przyjemny ból. Przyłożył po kryjomu dłoń do przepony, mając nadzieję w ten sposób stłumić ucisk. Żadna kobieta nie wywołała u niego dotąd takich sensacji.

Kobiety to kłopot, ostrzegł go wewnętrzny głos.

Przeniósł wzrok w odległy kąt pokoju, zaciskając zęby. Nie potrzebuje żadnych ponurych ostrzeżeń. Dobrze zna kobiety i rany, jakie zadaje miłość. Obserwował to w małżeń-

stwie swoich rodziców i w małżeństwie swojego brata. Doświadczył tego sam, jeszcze w college'u. Żadna kobieta nigdy więcej go nie omota, choćby była zjawiskowo piękna.

Miał zamiar po prostu zgasić cokolwiek poczuł do Diany. I znakomicie da sobie z tym radę. Za każdym razem, kiedy odezwie się w nim choćby najmniejszy odruch pożądania, zgniecie go jak irytującego komara. Najlepsze są proste plany, a ten jest prosty.

Kiedy tak rozważał swą sytuację, Diana skończyła opowieść. Uśmiechnęła się do chłopców, a potem do Trvisa.

- No, to dobranoc wszystkim - powiedziała.

Jej głos przeniknął go jak nuty melodii, od której nie sposób się uwolnić. To szaleństwo, mówi' sobie. Kompletnie szaleństwo...

- Zostawiam was, żebyś mógł uspić chłopców - rzekła, po czym wyszła.

Możesz to w sobie zniszczyć, pomyślał. Jesteś silniejszy niż te idiotyczne uczucia. Zignoruj je. Po prostu zignoruj.. Polecenia posłusznie maszerowały przez jego głowę, ale i tak nieświadomie odwrócił ją, wdychając lekki cytrusowy zapach, jaki snuł się za Dianą.

W domu wreszcie zapanowała cisza. Diana zaparzyła swoją ziołową herbatę i siedziała w pokoju, w którym słońca nie brakowało o żadnej porze roku. Wpatrywała się w ciemność, wsłuchiwała w opatulającą świat cichą zimową noc. Błady księżyc ozdabiał gęstwinę sosen i nagich drzew liściastych głębokim cieniem i perłowym blaskiem.

Kiedy opuszczała sypialnię, bliźniacy zamykali już oczy, gotowi na przygody, jakie ofiaruje im tej nocy władca snów. Byli fantastyczni, pełni życia i pomysłów. Diana od razu

zauważyła, jak poruszyła ich historia Półksiężycy. Nie brak im też było inteligencji i ciekawości świata. Była przekonana, że czas z nimi spędzony nie będzie stracony ani dla nich, ani dla niej.

Travis także przysłuchiwał się w skupieniu, stwierdziła z przyjemnością, upijając z filiżanki łyk naparu. Miała nadzieję, że zafascynowała go legenda. Patrzył na nią w taki sposób, jakby zaglądał do najskrytszych zakamarków jej duszy. Niełatwo było jej się wtedy skoncentrować. Chciała wygładzić włosy, poprawić wiązanie przy sukience, ale zmusiła się, by siedzieć nieruchomo. Nie lubiła siebie w roli głupiutkiej nastolatki. Szczęśliwie zdołała zapanować nad niepokojem, jaki spowodował natrętny wzrok Trávisa. Dopomogła jej w tym wymierająca sztuka opowiadania, która i ją wciągnęła bez reszty.

Wolała nie przypominać sobie jego spojrzenia, natężenia uwagi, z jaką chłonał jej słowa... Takie wspomnienia wywoływały dreszcze, jakby lodowata mgła przyłgnęła do jej ciała. Objęła ciepły kubek, żeby odgonić wyobrażony, a tak realny chłód. Bose stopy podciągnęła pod siebie na wyścietane siedzenie wiklinowego fotela.

Utwierdzała samą siebie w przekonaniu, że to niezwykłość losu Półksiężycy tak mocno Trávisa zaangażowała. Nie dopuszczała nawet innej ewentualności. Historia życia indiańskiego wodza nikogo nie zostawiłaby obojętnym.

Tylko dlaczego spojrzenie Trávisa było tak nieprzeniknione? Nie potrafiła nazwać tego, co zobaczyła w jego oczach. Były jak osłonięte tajemnicą okna, za którymi kryło się coś ważkiego i głębokiego: I z tej głębokości wzywały ją natrętnie. Westchnęła z irytacją i spojrzała na sufit. Co skłania ją

do nieustających fantazji na temat tego mężczyzny? Zupełnie jakby jej myśli prowadziły osobne, niezależne od jej woli życie, odkąd go spotkała.

Potrząsnęła powoli głową, próbując uporządkować sprawy. Zrobi wszystko, żeby pozbawić wyobraźnię samowoli.

Nie było to wszakże wcale łatwe zadanie. Niewygodne myśli nie dawały się wysłać w nieznane. Skąd czerpały taką siłę, co takiego było w Travisie, że wciąż ją nachodziły? Bez kłopotu odpierała wszystkie zaloty, odkąd się rozwiódła. Odmawiała, kiedy proszono ją o randkę, i udawało jej się robić to taktownie, bo nie miała zamiaru nikogo tym skrzywdzić. I oto proszę, zauroczył ją niejaki Travis Wescott, którego ledwie znała. Zawładnął nią wzrokiem i zaraził pożądaniem.

Pożądanie? Przestraszyła się. Tak daleko zaszyły już jej myśli? O nie. Tego już za wiele. Posunęła się stanowczo za daleko i musi czym prędzej wrócić na właściwą pozycję. To stało się po prostu śmieszne. Travis słuchał tylko jej opowieści, a ona...

- Cieszę się, że się zadomowiłaś.

Stał w oszklonych drzwiach, które wychodziły na podwórko. Jego sylwetkę rysowało miękkie światło, które padało z kuchni. Wyglądał na człowieka poważnego i odpowiedzialnego.

Poruszyła się nerwowo, jakby chciała otrząsnąć się z refleksji, która nie po raz pierwszy już ją nawiedziła. Wystarczy wewnętrzny zakaz i sprawa załatwiona. Przecież żaden mężczyzna nigdy nie da jej poczucia bezpieczeństwa.

- Piję zwykle rumianek przed snem - odezwała się, zadowolona, że jej głos nie drżał tak jak jej serce. - Pozwoliłam sobie zaparzyć czajniczek.

Pokiwał głową.

- Nalałem sobie. Chyba nie masz mi za złe? - Uniósł kubek trzymany w prawej ręce. - Pozwolisz, że się dotączę?

- Proszę.

Ta uprzejmość wydała jej się dziwnie nienaturalna.

- Travis, przepraszam, że narzucono ci moją osobę.

Wiem, że ci przeszkadzam, zwłaszcza że chciałbyś przede wszystkim zbliżyć się z chłopcami, żebyście się poznali i Boże Narodzenie spędzali już jako szczęśliwa rodzina.

Popijał małymi łydkami płyn, spoglądając na nią w milczeniu. Potem poruszył nieznacznie ramieniem i powiedział:

- Tak jak jest, jest najlepiej dla bliźniaków.

Nie wiedziała, czy mówił to z przekonaniem, ale nawet w przyćmionym świetle dochodzącym z werandy jego oczy błyszczały jakąś siłą i energią, która ją hipnotyzowała.

Zwróciła się do niego z przeprosinami, żeby zneutralizować napięcie, jakie zapanowało po jego wejściu/Tymczasem ich krótka wymiana słów zagęściła jeszcze atmosferę i prawie nie dało się oddychać, jakby brakowało w niej tlenu.

Chciała coś jeszcze dodać, przerwać męczącą ciszę, ale straciła nagle zdolność mowy.

- Więc...

Nie przygotowana na jego satynowy głos, podskoczyła na fotelu.

- To prawda? Twoja opowieść była prawdziwa?

Pokiwała głową.

- Tak, mówiłam chłopcom o rzeczach, które faktycznie miały miejsce. Wiele lat temu. Jared i Josh są tylko zbyt mali, by wchodzić w szczegóły. Ale ta uproszczona wersja świetnie nadaje się na dobranoc.

- Uproszczona? - zdziwił się. - To jest coś więcej?  
- O tak, i to sporo. - Przemieściła się na fotelu. - Półksiężyc wcale nie tak łatwo zgodził się na rozmowy z białymi. Kolheekowie są ludem dumnym i upartym. A więc najpierw jednak walczył.

- No i słusznie - zauważył Travis. - W końcu to była jego ziemia.

Diana pokręciła głową z delikatną dezaprobatą.

- Nikt tak naprawdę nie jest właścicielem ziemi. Niezaprzeczalnie mieliśmy prawo tam mieszkać i polować. - Zahała się. - Cóż - poprawiła z lekkim uśmiechem. - W każdym razie Półksiężyc tak uważał.

Travis przytaknął, a jego oczy rozświetliło zrozumienie, a może zainteresowanie.

- Wielu z nas, starych i młodych, straciło życie w walce - mówiła - zanim Półksiężyc postanowił pójść na ugodę. Krwawa i okrutna wojna toczyła się przez lata. To czarna karta naszej historii.

Travis siedział z dłońmi zaciśniętymi na kubku, łokcie wsparł na kolanach. Wzrok miał skupiony, milczał. Wpatrywał się w jej usta. Kiedy sobie to uprzytomniła, żołądek podskoczył jej do gardła. Nie wiedziała, czy w ogóle słyszał, co mówiła. Zdawał się być w jakimś transie.

Wreszcie powoli zaczął błędzić językiem po dolnej wardze. Zrobił to wyraźnie nieświadomie. Nie odebrała tego jako erotycznego sygnału, ale wiedziała, że jej obawy były słuszne. Nie wymyśliła sobie, że Travis jest nią zainteresowany. To był fakt. I właśnie dostała na to dowód.

Splotzyła się, jej myśli ogarnął zamęt. Powinna bezzwłocznie oświadczyć mu, że absolutnie wyklucza wszystko, co



wykracza w tym domu poza jej obowiązki związane z Jaredem i Joshem. Bądź z nim uczciwa, mówiła sobie. Mądre słowa babki wróciły do niej jak echo.

Już otworzyła usta, i w tej samej chwili stało się coś nieoczekiwanego. Travis wyprostował się, stęzał, spojrzął przez okno na przykrytą pierzyną śniegu noc. Nabrał powietrza, jakby brakowało mu tchu. Jego pierś uniosła się ciężkim westchnieniem. Kiedy znów na nią spojrzął, nie było w jego oczach śladu erotycznego zainteresowania, fascynacji, kuszenia. Zgasły jak płomień świeczki zduszony między palcami.

Poczuła, jak rozluźniają się mięśnie jej pleców i karku. A zatem rzeczywiście jej pożądał. To nie był tylko jej wymysł. Ale równie oczywiste było dla niej, że i Travis, podobnie jak ona, robi wszystko, by zapanować nad swoimi uczuciami.

Nie obchodziło jej, dlaczego tak robi. Nie musiała znać powodów jego decyzji i zachowania. Wystarczyło, że sprawiły jej ulgę. Wszystko ułoży się idealnie, pomyślała, jeśli tylko będą się oboje trzymać swoich postanowień.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

- Kogo ze sobą przywiozłeś?
- Kim ona jest?

Travis powstrzymał odruch irytacji, jaki wzbudziły w nim zgodne pytania jego współpracowników i równocześnie najlepszych przyjaciół: Grega i Sloana. Spodziewał się, że będą zaskoczeni, ale nie przypuszczał, że do tego stopnia.

- Słuchajcie - zaczął. - Nie chcę wchodzić w szczegóły. Lada moment zjawi się mój pacjent.

- O nie! - Sloan potrząsnął głową i złapał go za rękaw.  
- Nie wyjdiesz stąd, dopóki nam nie wyjaśnisz. - Opuścił ręce, poddając się, kiedy Travis wykonał gwałtowny obrót.

- Przywiozłem szamankę z rezerwatu.

Greg parsknął. Travis zmrużył oczy i rzucił w jego kierunku ostrzegawcze spojrzenie.

- Więc - mówił Sloan - nie przestyszeliśmy się.

Travis potwierdził, a Sloan zmarszczył brwi i pokiwał głową.

- Ale po co?

- Chłopcy kończą niedługo... - Słowa utkwily w gardle Trávisa. Nie wiedział, jak przyjaciele przyjmą dalszy ciąg.

Odkąd się poznali, indiańskie pochodzenie Trávisa nigdy nie stało się tematem ich rozmowy. Jakoś nie pojawiła się okazja, by otwarcie o tym pogadać. Znali prawdę, ale nigdy

dotąd nie zagłębiali się w ten temat. Dla samego Trvisa kwestia pochodzenia stała się ważna w momencie, gdy starał się o miejsce w college'u. Nastąpiło to właściwie pod wpływem drobnego incydentu, który nie stanowił szczególnego powodu do dumy, był jednak ważny jako początek odkrywania własnej tożsamości.

Z jakiegoś powodu trzymał w tajemnicy, że w jego żyłach płynie krew Kolheeków. Rodziny większości jego znajomych miały swe korzenie w Anglii, Irlandii, Chinach, we Włoszech. Nie uważał, by fakt, że jest półkrwi Indianinem, godny był jakiejś wyjątkowej uwagi.

W tamtym czasie zaczął sporo czytać o swych współplemieńcach. Dowiedział się, że rezerwat Kolheeków mieści się w stanie Vermont. Postarał się nawet o to, by stać się członkiem plemienia *bona fide* i zarejestrował się jako Kolheek. Matka nie pochwałała tego. Prawdę mówiąc, tak jej się to nie podobało, że wyparta się syna. Dręczyło go, że zawstydzają to, co dla niego jest powodem do dumy. Przygnębiało go też, że zerwała z nim z powodu jego dociekliwego badania własnego pochodzenia. Zresztą matka całe życie troszczyła się głównie o siebie, a więc strata nie była w końcu tak dotkliwa. W każdym razie jej opinia nie powstrzymała go. O losie Jareda i Josha dowiedział się z wydawanej przez Kolheeków gazetki, którą zaczęto mu regularnie przysyłać. Pisano tam o bliźniakach, którzy czekają na operację serca. Od tamtej pory jego życie uległo radykalnej zmianie.

Wciąż jednak wahał się, czy powiedzieć przyjaciółom o Dianie Chapman. A jednocześnie źle się czuł z tym, że obawia się ich oceny.

Patrząc na kartę pacjenta, przesunął palcem po twardym

brzegu plastikowej koszulki. Greg i Sloan nigdy dotąd go nie krytykowali, a zatem dlaczego mieliby to robić teraz?

- Wkrótce chłopcy skończą sześć lat, a w dzień urodzin odbywa się uroczyste nadanie indiańskich imion - powiedział, patrząc im prosto w oczy. - Nie mogę ich do tego przygotować tak jak Diana, bo za mało o tym wiem. A więc ona da im podstawy kultury i tradycji Kolheeków, a kiedy będą gotowi, dopełni ceremonii.

Gdy mówił, głupawy uśmiezek pojawił się na twarzy Grega, ale z czasem stopniowo nikał. Greg i Sloan siedzieli wyprostowani, coraz bardziej zainteresowani jego wyjaśnieniem.

- No no - rzekł miękko i przyjaźnie Greg. - To świetnie, Travis.

Sloan pokiwał głową, jego oczy błyszczały fascynacją.

- Chłopcy będą mieli przynajmniej szansę poznać swoje korzenie. To bardzo ważne, każdy powinien czuć się dumny z tego, kim jest - stwierdził.

Travis poczuł niezmierną ulgę. I wstyd mu było, że wątpił w swych przyjaciół. W tych, co stali u jego boku na dobre i na złe.

- Naprawdę to dla nich świetnie - ekscytował się nadal Sloan. - Dla ciebie chyba też.

Travis nie wiedział, co powiedzieć.

- No a co? - mówił Sloan. - Nie obchodzi cię, skąd się wzięłeś?

Wzruszając ramionami, Travis przyznał:

- Jasne. Od lat się tym zajmuję.

- Tak myśleliśmy - włączył się Greg. - Naprawdę równy z ciebie gość. Zresztą pomógłbyś tym dzieciakom niezależ-

nie od tego, kim są. Ale to niewątpliwie miało znaczenie. Że są Indianami. Bo to znaczy, że są prawie... - uniósł i opuścił ramię - twoją rodziną.

Ojcostwo zmieniło Trvisa. Nigdy wcześniej łatwo się nie wzruszał. A teraz, przenosząc wzrok z Grega na Sloana i z powrotem, czuł niemal, jak rośnie w nim serce. A pod powiekami zrobiło się niespodziewanie wilgotno.

Miał szczęście, że spotkał na studiach właśnie tych dwu nadzwyczajnych mężczyzn. Już wówczas, zwłaszcza gdy odkryli, że żaden z nich nie znajduje oparcia w pełnej szczęśliwej rodzinie, tak potrzebnej, by przetrwać trudy studiów, obiecali sobie, że będą się wzajem wspierać. Nie byli rodzonymi braćmi, a mimo to trudno było znaleźć trzech bliższych sobie ludzi. Wspólnie przeżywali radości i niepowodzenia. W kłopotach byli dla siebie oparciem.

Travis miał wyjątkowe szczęście. Jego kumple doskonale go rozumieli, nie musiał tłumaczyć się ze swoich poczynań przez miesiące, które zamieniły się w lata, odkąd dwójka małych chorych chłopców wkroczyła w jego życie po raz pierwszy.

- Wiecie... - Słowa uwięzły mu w gardle. Zaczął jeszcze raz, pchany nagłą potrzebą wyrażenia swoich uczuć wobec nich i ich przyjaźni. - Wiecie, chłopaki...

Sloan powstrzymał go uniesieniem dłoni. Na twarzy Grega zarysował się uśmiech.

- Tylko nie mięknij - powiedział surowo Sloan.
- Taa - przytaknął Greg, odsuwając krzesło, odwracając wzrok i robiąc mnóstwo zamieszania wokół zmiany pozycji.
- Zaraz się popłaczemy jak kupa smarkaczy - zachrypiął.
- Daj spokój, pacjenci czekają.

Travis stał, patrząc na nich. Tak. Słowa nie były potrzebne. Cieszył się jednak, że wiedzieli, co chciał im powiedzieć. Przyjaciele. Nic nie jest tak ważne w życiu jak przyjaciele.

Kręcąc głową, Travis uśmiechnął się do nich lekko i ruszył do pracy.

Mrowienie, jakie Diana poczuła nagle na całym ciele, ostrzegło ją, że Travis właśnie wszedł do kuchni. Nigdy wcześniej nic podobnego jej się nie przytrafiło. Miała świadomość, że to głupie. W końcu jeszcze nie tak dawno była mężatką. Wiedziała wszystko, co powinna wiedzieć o mężczyznach, kobietach i ich wzajemnych relacjach. Jednak gdy tylko znalazła się w pobliżu Travisa, wpadała w radosną trzpiotowatość bezmyślnego dziecka. A przecież idiotyczne wdzięczenie się nie przystawało do obrazu siebie, jaki chciała mu narzucić - osoby poważnej i profesjonalnej. Toteż bezrozumnym żądzom ukręcała łeb w wyobraźni.

- Cześć - pozdrowił ją.

Na dźwięk jego donośnego głosu załat ją rumieniec. Przywitała się skinieniem głowy i uniosła rękę, by dotknąć ust i brody koniuszkami palców. Wyglądało to pewnie dziwacznie, ale pozwoliło jej utrzymać powagę. Nie życzyła sobie, by wiedział, jak cieszy ją jego bliskość.

- Jak poszło? - spytała.

Po pracy Travis wybrał się zapisać chłopców do grupy przedszkolnej w miejscowej szkole.

- W porządku. - Położył teczkę na stole obok jej notesu i zaczął rozpinać płaszcz. - Poznałem wychowawczynię, panią Brown. Wygląda na całkiem miłą.

- Świetnie. A co mówiła o całej... sytuacji?

Zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie krzesła.

- Ma bardzo dobry pomysł.

Diana uniosła brwi z zainteresowaniem, zachęcając milczeniem do rozwinięcia kwestii.

- Pani Brown uważa, że chłopcy mają teraz i tak nadmiar nowości, do których muszą przywyknąć. Nowy dom, nowego ojca, ciebie, no i jeszcze mają się nauczyć jak najwięcej o plemieniu Kolheeków. Jej zdaniem powinni zostać parę tygodni w domu. Wkrótce zaczyna się przerwa świąteczna. Najlepiej będzie zatem, jeśli pójdą do szkoły na początku nowego roku, kiedy wrócą wszystkie pozostałe dzieci.

Diana przytaknęła.

- Mogą więc stopniowo przyzwyczajać się do nowego życia. - Odsunęła dłoń od twarzy, uśmiechając się szeroko.

- Pani Brown jest mądrą kobietą.

Zaśmiał się pod nosem.

- Też tak myślę. Odpowiada mi, że spędzę z chłopcami więcej czasu.

Odwrócił się w stronę drzwi wejściowych, zmarszczył brwi, po czym znów odnalazł jej oczy.

- Wydają się tacy przestraszeni - powiedział. - Jakby obawiali się, że oddam ich z powrotem do sierocińca.

- To normalne - odparła, pragnąc dodać mu otuchy. - Zdradzili mi trochę swoich lęków. Potrzeba tylko czasu i zaufania, a wszystko się ułoży. Powiedziałam im, że mogą ci zaufać, tak jak ja ci ufam.

Widząc, jak wdzięczność zmiękcza jego rysy, poczuła, jakby coś ostrego prześliznęło się po jej skórze.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Powiedział to zmysłowym, ciepłym tonem. Diana miała ochotę zamknąć oczy i zatracić się w nim.

- Aha, zapomniałbym. - Sięgnął do teczki i wyciągnął plik kartek. - Pani Brown chce wiedzieć, czy chłopcy znają alfabet i liczby...

- Oczywiście. - Wyciągnęła rękę, a kiedy nie wypuszczał kartek, spojrzała pytająco. Zakłopotanie pokryło jego twarz jak warstewka błyszczącego potu.

- To nie było polecenie - odezwał się uprzejmie. - To znaczy, nie chciałem powiedzieć, że ty masz się tym zająć.

- Aha. - Przygryzła wargi, cofnęła rękę i oparła ją o stół. - Nie chciałam się wtrącać. Chciałam tylko pomóc...

Oboje poczuli się skrępowani. Coś ciężkiego zawisło w powietrzu. Wyraźnie czuła, że jego zakłopotanie nie miało nic wspólnego z papierami, które przyniósł ze szkoły.

W końcu odezwał się:

- Chyba musimy się odprężyć. Za każdym razem, kiedy się spotykamy, kompletnie się gubimy.

Odprężyć się. Idea jest dobra, myślała Diana, tylko jak wprowadzić ją w życie?

Każdym zakończeniem nerwów odbierała jego obecność jak znaczący sygnał. Mogła prawdopodobnie powściągnąć swoje reakcje i dążyła do tego z pełną determinacją. Ale niby jak miałyby naprawdę się odprężyć? To chyba niemożliwe.

Travis spojrział w stronę salonu, gdzie Jared i Josh siedzieli przed telewizorem.

- Dopóki nie skończy się kaseeta z Robin Hoodem, mogę się zająć obiadem.

- Skończę notatki - powiedziała - i pomogę ci.



- Co piszesz? - spytał, wyciągając ziemniaki i cebulę ze spiżarni. - Coś o chłopcach?

- Tak, owszem. - Zabrała pióro ze stołu. - Fascynują mnie. - Miała świadomość, że oczy błyszczą jej na myśl o dniu spędzonym z Joshem i Jaredem. Mało znała się na dzieciach, bo nie miała z nimi dotąd wiele do czynienia, nie wiedziała zatem, co ją czeka. Tymczasem od razu polubiła chłopców i znakomicie czuła się w ich towarzystwie. - Z wyglądu są jak dwie krople wody, ale w rzeczywistości różnią się jak dzień i noc.

Travis obierał jarzyny.

- Zauważyłaś? - uśmiechnął się.

- Spakowaliśmy się dziś rano - mówiła - i wybraliśmy na długi spacer do lasu. Poprosiłam, żeby pokazywali mi wszystkie żyjące stworzenia, jakie uda im się dostrzec. Jared skakał, turlał się i biegał. - Zaśmiała się na wspomnienie jego szaleństw. - A Josh prawie całą drogę szedł przy mnie zamyślony, mało się odzywając.

- Łatwo to wytłumaczyć - powiedział, odkładając nóż i opierając się o kant blatu. - Bardzo wcześnie rozwinęły się u nich wady serca. Stan Josha był o wiele groźniejszy. Wymagał kilku operacji. Parę miesięcy nie mógł wstawać z łóżka. Jest więc o wiele mniej aktywny fizycznie od brata.

Ciekawość wzięła nad nią górę. Oparła brodę na zaciśniętej dłoni, w której ścisnęła pióro.

- Słyszałam, że to właśnie dzięki tobie zostali zoperowani. Powiedz... dlaczego im pomogłeś?

Wzruszył ramionami, jakby unieważniał w ten sposób znaczenie swoich działań, i wrócił do obierania ziemniaków.

- Nie wiem - odparł. I zaraz dodał: - Akurat otrzymałem

potwierdzenie na piśmie, że należą do plemienia Kolheeków. Tego samego tygodnia znalazłem w skrzynce ich gazetkę.

Oderwał się na moment od pracy i spojrzał w sufit, jakby rozważał jakąś poważną kwestię filozoficzną. Potem popatrzył na nią z niezwykłą intensywnością.

- Wierzysz w los? - spytał i zaśmiał się. - Może jestem niepoważny. - Znowu wzruszył ramionami. - Ale nie mogłem przestać myśleć o bliźniakach. W tej gazecie przeczytałem, że rezerwat toczy spór z władzami stanowymi, kto ma zapłacić za ich leczenie. Musiałem wkroczyć do akcji. Dla chłopców każdy dzień był na wagę złota.

- I wtedy skontaktowałeś się ze szpitalem? - spytała.

- Tak. Nachodziłem i zamęczałem moich kolegów po fachu, aż znalazł się chętny chirurg kardiolog. - Travis zaśmiał się. - Zdaje się, że doktor Harris zgodził się operować chłopców tylko dlatego, żebym się wreszcie od niego odczepił. Dopełnił wszystkich formalności, bardzo istotnych w tym przypadku, i ostatecznie nikogo to nic nie kosztowało. To dobry człowiek.

- Tak jak ty, Travis. Tak jak ty.

Naprawdę to powiedziała, choćby i załęczonym szeptem? Czy to z jej ust wyszła ta opinia o tym dopiero co poznanym mężczyźnie? Diana trwała nieruchomo przy stole. Dzielili ich ponad dwa metry, ale kiedy się do niej odwrócił, zdawało się, jakby stał na odległość krótkiego oddechu.

W głowie jej zawirowało, myśli ogarnął wielki galimatias. Z głębi jej klatki piersiowej dochodziło tylko głośne łomotanie. Powietrze w kuchni zamieniło się w kleistą masę, której nie dałoby się wciągnąć do płuc, nawet gdyby zależało od tego życie. A przecież właśnie zależało.

Travis znieruchomiał z nożem w dłoni nad wpół obranym ziemniakiem. Jego czarne oczy rzucały wokół błyski...

Diana upuściła pióro, które uderzyło o drewniany blat stołu. Ten dźwięk zadziałał jak pstryknięcie palcami przez hipnotyzera, gwałtownie przywracając im świadomość, ratując z odrętwienia. Zakłopotanie załało jej twarz falą gorąca. Na szczęście Travis wrócił do swego zajęcia i nic nie zauważył.

Chyba kompletnie straciłam rozum, myślała bezładnie. Jak mogła dopuścić, żeby wyrwało jej się tak straszne, tak otwarcie demaskujące ją zdanie? Była śmiertelnie przerażona, zastanawiała się, czy jej słowa brzmiały w jego uszach równie zmysłowo jak dla niej...

No i co on sobie pomyślał? Jak ona to teraz odkręci? Nie mogła obrócić swoich słów w żart, bo umniejszyłoby to wagę zasług Trávisa w stosunku do chłopców. Tego się nie da naprawić, podpowiadał jej głos rozsądku. Zmień temat, nakłaniał. Udawaj, że nic takiego nie powiedziałaś.

- A więc...

Odezwał się bardzo spokojnie, ale tak ją zaskoczył, że gwałtownie poderwała głowę.

- Jak chłopcy poradziili sobie z zadaniem?

- Zadaniem? - Rzuciła okiem na jego profil, było jej głupio, że nie zrozumiała pytania.

- Dzisiaj w lesie - dodał. - Kazałaś im wskazywać wszystkie żyjące istoty.

- A tak. - W roztargnieniu podniosła pióro i obracała nim nerwowo. - To nie było właściwie zadanie... Chciałam jakoś im uświadomić, że wszystkie te istoty są święte i że musimy je szanować... i...

Kompletnie nie mogła znaleźć słów, jakby rozplynęły się

w gęstej atmosferze. Ledwo zdołała połączyć w miarę sensownie kilka wyrazów, ale zbudowanie dłuższego zdania przekraczało jej możliwości. Przetknęła ślinę i wzięta głęboki oddech.

- Odbyliśmy wspaniałą dyskusję na temat drzew - ciągnęła odważnie. - Jared spierał się... no, on uważa, że drzewa nie żyją. Bo straciły liście. A bez nich wyglądają, jakby umarły. - Zaśmiała się tak sztucznie, że uraziło to nawet jej ucho.

O Boże, pomyślała, wbijając oczy w swój notes, tylko pogarszam sytuację. W lesie temat rozmowy z chłopcami był naprawdę istotny, teraz zdawał się jałową błażostką.

Zerknęła w stronę Trávisa. Czy naprawdę musiał podwinąć rękawy koszuli i odstąpić ramiona? Dlaczego iskry w jego oczach sprawiały, że jej serce tłukło się o żebra jak gładz toczący się szaleńczo i niebezpiecznie z wysokiego szczytu?

- Ale w końcu wymyślił - dokończyła z wysiłkiem - że drzewa jednak muszą być żywe, skoro... no wiesz... na wiosnę znowu wypuszczą liście.

Dłoń jej drżała, a krew krążyła w zupełnie wariackim tempie. Poderwała się, nogi krzesła ostro szurnęły o podłogę.

Spotkali się wzrokiem i wtedy Diana to zobaczyła. On o wszystkim wie. Dostrzega jej wewnętrzny chaos. A tak bardzo zależało jej, by tak się nie stało.

Wiedział też jeszcze jedno, po prostu czuła to w kościach. Odkrył, że fascynacja jest wzajemna... i że teraz ona niezdarnie próbuje ten fakt zakamuflować:

- Wiesz - wyrwało się jej - okropnie rozboliła mnie głowa. Chyba się położę. Nie czekajcie na mnie z kolacją, jakoś nie jestem głodna.

Wybiegła, jakby ją ktoś gonił.

Czyste pożądanie. Dokładnie to wyrażało spojrzenie Trvisa. Było to jasne jak dzień. Nie widziała w życiu czarniejszych oczu ani tak przemożnego w nich pragnienia.

Oparła się o drzwi pokoju gościnnego, oddanego do jej dyspozycji. Z całej siły, jakby chciała odeprzeć napór całego świata. Nie, nie całego. Tylko Trvisa. I "pożądania, które wprost z niego krzychało.

Od początku, od chwili ich pierwszego spotkania, nie był jej obojętny. Poruszał w niej jakąś czułą strunę. Przysięgła sobie od razu, że zatrzyma jej drżenie. Wyrzuci z siebie, wycisnie do cna najmniejszy ślad fascynacji, jaką wzbudził w niej ten mężczyzna. A ta wciąż ożywała, niczym żar z nie dogaszonego ognia, który co i rusz wybuchał, bo wciąż tkwił w żarzących się węglkach.

Była też pewna, że i on poprzysiągł sobie zgnieść w zarodku wszelkie erotyczne rojenia. Zauważyła jego starania w tym kierunku już pierwszego wieczoru, który wspólnie spędzali w tym domu. A przecież stali potem w kuchni, gapiąc się na siebie jak para napalonych nastolatków, gotowi, nieledwie dysząc. Nie była wszakże rozochoczoną nastolatką, lecz dorosłą kobietą, a zatem nie pozwoli sobie więcej nawet pomyśleć o jakimkolwiek fizycznym kontakcie z Trvisem.

To tylko fantazja, którą można opanować i poskromić.

Zamknęła oczy i rozpoczęła cichą modlitwę w intencji swoich postanowień. Wygra tę walkę albo spotkają poniżej, które trudno wręcz wyrazić słowami.

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

Zimowy księżyc w pełni zawisł na satynowym czarnym niebie, rzucając wydłużone cienie na kuchenną podłogę. Cienie, które uszły uwadze Travisa, siedzącego przy stole i pogrążonego w rozmyślaniach. Minęła już jedenasta. Był pewien, że jeszcze moment i głód albo pragnienie wyciągną Dianę z pokoju, gdzie ukryła się przed kolacją.

Zapakował chłopców do łóżek parę godzin wcześniej. Wziął prysznic. Przez chwilę studiował karty kilku pacjentów. Próbował potem zasnąć, ale wiercił się i przewracał z boku na bok, aż koce zaplątały się wokół jego kolan.

Powrócił myślą do popołudnia spędzonego przez chłopców z Dianą. Podczas kolacji Jaredowi i Joshowi buzie się nie zamykały, to samo było w czasie kąpieli. Najwidoczniej Diana rzuciła na nich jakiś czar.

Jedna z powtarzanych przez chłopców opowieści dotyczyła starego drzewa, mądrego i cierpliwego, które przez całe życie z radością udzielało schronienia zwierzętom i ptakom, i dawało cień ludziom, którzy przystawali pod jego koronę. Druga mówiła o głębokim szacunku, jakim Indianie darzą ptaki leśne i o tym, jak ważne jest, by potrafić rozróżnić śpiew poszczególnych gatunków. Mądry myśliwy usłyszy w ptasich trelach informację o znajdujących się w pobliżu obcych.

Nawet milczek Josh wyjawiał Travisowi, że według Diany ziemia też jest żywa i wciąż się zmienia. Siedział w wypełnionej bąbelkami wannie, a jego wytrzeszczone oczy były przejęte grozą.

Travis stwierdził, że Diana ma rację. Ziemia ulega nieustannym przeobrażeniom, a to za sprawą, między innymi, kataklizmów i wulkanów oraz erozji spowodowanej wiatrem i deszczem, czyli żywiołami.

- Diana mówi - Jared wynurzył się z wody - że musimy dbać o wszystko, co żyje. Nawet takie gąsienice. Wszystkie ptaki. Niedźwiedzie, drzewa, kwiaty i krzewy. Wszystko.

- Nawet wstrętne pająki - dorzucił Josh, marszcząc nos. Travis przekonał się, że lekcja Diany pobudziła chłopców

do myślenia. Zwyczajny spacer po lesie stał się pretekstem, by obudzić ich świadomość i sumienie. Filozofia Indian, z jej wielką troską o naturę, jest niewątpliwie godna naśladowania. To znaczący element, którego brak w wychowaniu wielu młodych ludzi. Skąd bowiem tyle wśród nich agresji i przemocy? Czemu tak bezmyślnie zatruwamy rzeki, jeziora i ziemię naszymi odpadkami? Obiecał sobie, że podziękuje Dianie za to, że wpłynęła na chłopców w tak pozytywny sposób.

Kiedy leżał samotnie w łóżku, po raz nie wiadomo który powrócił myślą do swej kompletnej nieznajomości kultury Kolheeków. Miał w związku z tym wiele pytań. Był pewien, że Diana chętnie mu na nie odpowie. Tylko że, choć była tu już trzy dni, nie miał jeszcze odwagi zwrócić się z tym do niej.

Jego życie od przyjazdu z rezerwatu przeobraziło się nie do poznania. Był teraz ojcem, a to wystarczy, by zburzyć dotychczasowy spokój. Musiał jednak przyznać, że zmiana

nie dotyczyła wyłącznie ojcostwa. Wydawało mu się, jakby jego dom nawiedziła jakaś nieziemską bogini.

Uważał się dotąd za zadowolonego, a może i szczęśliwego człowieka, który ufa swoim opiniom, polega na swoich sądach i ogólnie jest z siebie zadowolony. Ale kiedy tylko Diana pojawiała się w zasięgu jego wzroku, pewność siebie rozmywała się jak mgła.

Niezmiennie podziwiał jej dostojny spokój, który zdawał się dominować w jej charakterze. W jej brązowych oczach kryła się taka przeklęta... mądrość, a jej głos.

To właśnie ów głos, zmysłowe echo, które dźwięczało w jego głowie, odkąd stwierdziła, że jest dobrym człowiekiem, ten głos wygnał go z łóżka do pogrążonej w ciemności kuchni.

Pragnął Diany, marzył o tym, żeby ją pocałować, dotknąć. Żeby przeciągnąć palcami wzdłuż jej jedwabistych, długich włosów. Żeby zbliżyć twarz do jej szyi i poczuć znany mu już cytrynowy zapach jej opalonej skóry.

Do diabła! Musi z tym skończyć! I to natychmiast.

Ale zduszenie łakomych myśli wcale nie przychodziło mu łatwo. Zwłaszcza że dowiedział się czegoś ważnego tego właśnie wieczoru, a mianowicie, że Diana cierpi na tę samą co on przypadłość. Było to jasne jak na dłoni. Pragnęła go. Mówiło o tym jej ciemniejące spojrzenie, brzmiało to w jej głosie, całe jej ciało wprawiało w jednoznaczny trzepot.

Diana była zszokowana zmysłowością swego głosu, jawnym erotyzmem ubarwiającym słowa. Zaskoczenie, w jakie sama się wprawiała, diabelnie utrudniało jej rozmowę z Travisem na temat wycieczki do lasu. Aż uciekła, udała niedyspozycję i zamknęła się na górze.

Travis przypuszczał, że Diana zechce wymazać jakoś wy-



darzenia tego wieczoru. Zastosować regułę: co z oczu, to z serca. Tylko że ta reguła wcale nie działała. Wciąż słyszał głos Diany, jej żarliwy ton, chociaż schowała się przed nim i dzieliły ich ściany.

Wreszcie, czekając tak na nią bezskutecznie, doszedł do wniosku, że muszą o tym porozmawiać. Musi ją zapewnić, że nic jej z jego strony nie grozi, nawet gdyby jego ciało nie zgadzało się ze słowami.

Wyjaśnienie przyjdzie mu zresztą łatwo, pomyślał. Wyłoży jej wszystko, powie o swojej przeszłości, podzieli się z nią swoimi przemyśleniami, zracjonalizuje motywy swojego postępowania i bez kłopotu pogrzebią oboje tę niechcianą przez żadne z nich fascynację.

Jego uwagę zwrócił ruch w drzwiach do kuchni.

- Przepraszam... - Wycofała się, zanim przekroczyła próg pomieszczenia. - Myślałam, że śpisz.
- Diano! - przywołał ją miękko. - Zaczekaj, musimy porozmawiać.
- Jakiś problem z chłopcami?

Półmrok nie pozwalał mu dostrzec przerażenia, jakie malowało się w tym momencie na jej twarzy, wyraźnie je jednak słyszał. Jej troska o bliźniaków dogłębnie go poruszyła, ścisnęła mu serce jak kleszcze.

- Nie - uspokoił ją. - Nic im nie jest. Chodzi o mnie i o ciebie, tylko o nas.

- Czy... czy to nie może poczekać? - spytała głosem zdyszanyim ze zdenerwowania. - Zesłam tylko napić się czegoś. I poszukać jakiegoś herbatnika.

- Nie jadłaś kolacji. Masz ochotę na kanapkę? Albo podgrzeję ci kolację.

- Nie trzeba, dziękuję.

Drżała dosłownie na całym ciele, świetnie rozumiał, co czuje. Nie mógł jednak odkładać tej sprawy do następnego dnia. Należało jak najprędzej ją załatwić, dla dobra ich obojga.

- Usiądź.

Powiedział to spokojnie, a jednak zabrzmiało jak rozkaz, bo w sumie tym właśnie było. Ustawił dla niej krzesło.

Przez kilka sekund w mrocznej kuchni niepodzielnie panowała cisza. Wreszcie Diana westchnęła i po paru krokach zajęła przygotowane dla niej miejsce.

Księżyc odbijał się w jej ciemnych oczach, połyskiwał na włosach, które przywodziły na myśl lśniąca czarna rzekę.

Travis, który wcześniej docenił już jej urodę, musiał przyznać, że noc, z jej półcieniami i światłem księżyca, dodawała jej jeszcze uroku. Poczuł, jak palą go trzewia. Przeklinając w duchu, użył całej swojej mocy, by zdeptać ogień, jaki znowu w nim rozpałała.

- Posłuchaj...

Pożałował natychmiast, że zaczął tak szorstko. Temat wymaga delikatnego podejścia, inaczej może jedynie wprawić Dianę w zakłopotanie. Siebie zresztą także. A żadnemu z nich tego nie życzył. Wziął głęboki oddech, zwilżył wargi i spróbował jeszcze raz:

- Musimy porozmawiać o...

No właśnie. O czym? Jak miał nazwać to iskrzenie między nimi? Potrzebą? Tęsknotą? Pragnieniem?

- Czuję... - Przygryzł dolną wargę. - Jak tylko się spotkaliśmy, wydałaś mi się...

Brakowało mu słów, choć bardzo się starał. Odwrócił się

od niej, patrząc w zamyśleniu na mosiężne uchwyty kredensu odbijające poświatę księżyca. Dlaczego nie potrafił się wyśłowić? Co stało mu na przeszkodzie? Był pewny własnych uczuć, a więc może niezupełnie ufał swoim domysłom dotyczącym uczuć Diany? Nie, to nie są wcale czcze domysły. To jest niezaprzeczalna prawda.

- Chciałbym, żebyś wiedziała - zaczął tym razem wprost - że nie interesuje mnie żaden bliższy związek. Jestem głęboko przekonany, że kobiecie i mężczyźnie nie dane jest wytrwać razem zbyt długo. Moi rodzice okrutnie ranili się podczas rozvodu. Podobnie stało się z moim bratem i bratową. Brat tak mocno to przeżył, że wciąż uciekał, najszybciej i najdalej jak mógł, tak często zmieniając miejsca, że nigdzie się nie zameldował, a wyjeżdżając nie zostawiał adresu zwrotnego. Nie chcę doznać w życiu takiego bólu. Po prostu nie chcę. A zatem obojętne z jakiego powodu drżą nam ręce, kiedy przebywamy w jednym pokoju... cóż, musimy to kontrolować... i zapanować nad tym.

Po wpływem jego stanowczej przemowy zmiękły jej kolana, poczuła się jak bezbronne zwierzątko przygwożdżone w kącie. Jej twarz zniekształciła panika. Wyglądała jak ktoś, kto nie ma dokąd uciec, nie ma gdzie się skryć. Potem jej oczy zwężyły się ze złości, która miała tylko przestronić jej autentyczne uczucia.

Travis ani na moment nie dał się oszukać. Gdyby sprawa nie była tak bolesna także dla niego, jej kiepska gra może by go rozbawiła. Stając do tak trudnej konfrontacji, najczęściej bronimy się atakiem. Każdy inny w jej sytuacji napadłby już na niego ostro, zwymyślał go, nazwał zadufanym arogansem.

Każdy, ale nie Diana, nawet jeśli miała na to chętkę

w skrytości ducha. Jej pełna spokoju godność nie pozwoliła by na prostacki wybuch. Zabawne, że Travis dobrze o tym wiedział. Znali się ledwie kilka dni, ale to mu wystarczyło.

Wstała teraz powoli, lecz zdecydowanie.

- Nie chcę o tym rozmawiać.
- Musimy, nawet jeśli nie mamy na to ochoty - odpart, również stojąc. - Cieszę się, że przynajmniej mi nie zaprzeczysz.

Uniosła odrobinę jedną z idealnie zarysowanych brwi.

- A gdybym zaprzeczyła?
- Powiedziałbym, że kłamiesz - rzekł półgłosem. - A ciebie by to upokorzyło, bo jesteś uczciwa aż do bólu. Człowieka sądzi się po jego charakterze, to twoje słowa.

Odwrócili się od siebie. On, zdecydowany zmusić ją, by przyznała, że coś ich łączy. Ona, równie uparcie odmawiająca dyskusji na ten temat. W końcu to on się odezwał:

- Nie każ mi tego udowadniać.

Wyciągnął ku niej rękę i w tej samej chwili lekko zmarszczyła brwi.

- Zostaw mnie - poprosiła płaczliwym szeptem.

Ale było już za późno. Już jej dotknął, już trzymał ją w ramionach, mocno tuląc. Czuł przez sukienkę gorączkę jej ciała. W głowie mu huczało. To jakieś opętanie! Nedorzeczna obsesja, która nawiedza go zawsze na jej widok.

Tylko jej nie całuj, upominał się. Za żadne skarby świata nie całuj! Napomnienia były stanowcze i poważne. Tylko że żądza była zdecydowanie silniejsza. I bardziej zawzięta.

Ich oczy dzieliła najwyżej długość dłoni. Oddech Diany łaskotał mu policzek. Jej lęk ulotnił się gdzieś, on też się wyciszył. Pojawiło się za to czyste pożądanie, którego nie

było sensu negocjować. Już w następnej sekundzie ich usta złączył pocałunek. Travis musnął językiem jej gładkie, gorące wargi i nie potrafił już przerwać tej szalonej rozkoszy. Z głębi jego gardła wydobyło się westchnienie, które przytłoczyło jej przyspieszony głośny oddech. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wplotła palce w jego włosy i przyciąga go do siebie. Ujął jej twarz w dłonie, potem prześliznął się palcami ku brzegom jej uszu, szyi...

Oboje odptęnęli już z rzeczywistego świata.

Położyła płasko dłoń na jego piersi, chwyciła w garść materiał bawełnianej koszulki. Serce mu togotało, pulsowało w skroniach. Pożądanie rosnęło w obłąkanej głowie. Jego rozsądek odptęnął w nieznanym kierunku. Potem rozpiął jej sukienkę i kompletnie się zatracił.

Nagle, równocześnie odzyskali przytomność. Byli już zbyt blisko. Travis odskoczył jak oparzony, Diana odstąpiła na bok, zapięła sukienkę, poprawiła włosy, otarła usta. Nie mogli przy tym oderwać od siebie wzroku.

Travis poczuł wielki żal, że nie dane mu było ucałować jej szyi, uszczypnąć lekko zębami delikatnych koniuszków uszu, pieścić jej brody. Zamknął oczy i odetchnął głęboko, żeby zebrać myśli. Zbierał siły, by odzyskać władzę nad popędem, który pulsował rytmicznie niczym zawzięty bęben.

Na wpół świadomie uniósł dłonie i przeczesał nią potargane włosy. Później włożył ręce do kieszeni spodni i zmusił się, by spojrzeć w jej dzikie, ciemne oczy. Wyprostowała ramiona i plecy, przywołała na powrót swą dumną postawę i przybrała się w nią równie łatwo, jak w swą białą satynową suknię.

- Cóż - odezwała się ochryplym głosem. - Chyba nie da się ukryć, że masz rację. Rzeczywiście trudno temu przeczyć.

Dziwne, pomyślał. Najwyraźniej i ona nie znajduje określenia na ogarniającą ich przypadłość. Powiedziała „temu”. Jeśli będą mieli szczęście, może nie trzeba będzie tego w ogóle nazywać. Mogą przyznać, że to istnieje, ale się temu nie poddawać. Jeśli będą mieli szczęście.

- Nie chcę wchodzić w żaden związek - mówiła - podobnie jak ty. Ani na serio, ani dla zabawy. Czysto fizyczny czy jakikolwiek inny. Nie i koniec. Zrobię wszystko, żeby nikt mnie w nic nie wciągnął. Dotyczy to również ciebie.

Przysłuchiwał się tym deklaracjom z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Mimo to przytaknął.

- Dobra. - Znów pokiwał głową. - Cieszę się, że się zgadzamy. Tak, tak. Całkowicie się zgadzamy...

Nie przestawał kiwać głową, jakby ten ruch na dół i do góry dodawał wiarygodności jego słowom. Cisza zaczynała już być dokuczliwa.

- No to świetnie - dodał. - Jesteśmy jednego zdania. Milczała. Mimo to wiedział, że myśla o tym samym.

- Idę do łózka. - Przeszedł koło niej tak, by jej przypadkiem nie dotknąć. - Zjedz coś.

Kiedy szedł korytarzem w stronę schodów, które prowadziły do jego pokoju na piętrze, coś nie przestawało mu dokuczać, jak drapiący patyk upchnięty w kieszeni.

Wyjaśnił przecież motywy swojej decyzji, by nie wiązać się z Dianą. No, może nie wszystkie. Jednak rozwód rodziców, a potem brata, to były chyba dostateczne argumenty przeciwko wplątywaniu się w związki. Diana z kolei mówiła tylko o niechęci. Silnej niechęci.

Gdy szedł po schodach, jedno pytanie przyszło mu do głowy. Co sprawiło, że Diana jest taka surowa?

Nie dość było powiedzieć, że restauracja wyglądała z zewnątrz skromnie. To była zwykła knajpa. Za to czysta, no i na uboczu. Gościła zatem przede wszystkim mieszkańców, a nie turystów poszukujących rozrywki i robiących w Filadelfii przedświąteczne zakupy. Nie bez znaczenia było też, że kucharz miał za sobą pół wieku doświadczenia. Travis, Sloan i Greg jadal tam lunch przynajmniej dwa razy w tygodniu, a przyciągało ich zarówno jedzenie, jak wojenne opowieści właściciela.

- Moglibyście wreszcie wydorosnąć - stwierdził Sloan. - Zachowujesz się jak duży chłopiec, Travis. Nie potrafisz okiełznać hormonów? A ty przestań tego nieszczęśnika podkręcać.

Sloan wskazał na Trvisa ruchem głowy.

- Nie słyszałeś, co mówił? - skarżył się Greg. - Zgłupiał przez tę babę. Ja tylko uważam, że nie ma co się opierać, niech wchodzi w tę seksualną demencję.

- Nowe zaburzenie ku rozwadze psychologicznych pism? - zachichotał Sloan. - Trzymaj tak, stary, a zasłużysz na wzmiankę w historii medycyny.

Greg kiwał głową, z przylepioną do twarzy dumą.

- Pracuję nad tym.

- Żałuję, że wam powiedziałem. - Travis spojrzął w odległy róg sali. Jego najlepsi przyjaciele, a przy okazji współpracownicy, potrafili czasami niechcący dokuczyć swoimi dobrodusznymi żartami. Obrócił się do nich, opierając brodę na zaciśniętej pięści, i odezwał się półgłosem: - Diana naprawdę kręci mnie jak nikt dotąd.

- No, ale rozmawialiście o tym... - Sloan przerwał na moment. - O tym, co jest między wami?

- Uzgodniliśmy tylko, że nie chcemy się w to angażować

- odparł Travis.

- Czemu mnie nie posłuchasz? - Greg uniósł rękę. - Czemu się dobrze nie zabawicie?

Nietrudno było spodziewać się takiej rady od Grega. Znalazł właśnie kobietę swych marzeń i był zakochany. Nazywała się Jane Dale i miał ją poślubić w dzień Wigilii.

- Nawet jeden pocałunek może człowieka wytrącić z równowagi - ciągnął Greg.

- Wypróbowałem to - oznajmił Travis. - W zeszłym tygodniu.

- Całowałaś ją? —W zielonych oczach Grega zapaliły się iskierki. - Dopiero teraz to mówisz?

Sloan szturchnął go łokciem.

- Co z tobą? On nie należy do tych, co rozpowiadają. - Na jego twarzy pojawił się wyraz łagodnej nagany. - Zachowujesz się jak plotkara.

Greg odebrał to jako straszną krytykę i jego twarz się skurczyła.

- Faceci nie plotkują.

Sloan i Travis wymienili bokiem spojrzenia. Travis bardzo się starał, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu. Gdy Sloan zwyczajnie parsknął, Greg popatrzył na nich groźnie.

- Spróbuj z nią jeszcze pogadać - zasugerował Sloan.

- Niemożliwe. - Travis pokręcił głową. - Nie odważę się do tego wrócić. Nie mogę. - Wyrwało mu się głębokie westchnienie. - Ale powiem wam, że mało nie wyjdę ze skóry, jak tylko ona znajdzie się w pobliżu.



Wszystkie spojrzenia i słowa, jakie wymienili od czasu tamtego pocałunku, naładowane były nieznośnym napięciem. Kilka razy w ciągu minionego tygodnia dotknęli się mimochodem - raz podczas wspólnego zmywania naczyń, innym razem wpadła na niego tyłem, nie wiedząc, że za nią stoi. Za każdym razem myślał, że zatrzyma mu się serce. Tętno mu wariowało, krew uderzała do uszu. Stawał się kompletnym wrakiem.

Z tego powodu czuł do siebie wstręt. Był wściekły, że pozwala, by rządziły nim hormony. Był bezradny...

Do restauracji weszła Jane, narzeczona Grega.

- Cześć, chłopcy - pozdrowiła ich wesole.

Pochyliła się i pocałowała Grega w same usta. Travis natychmiast pomyślał o Dianie, ich pocałunku... jego marzeniu o kolejnym pocałunku...

- Wpadłam tylko się przywitać - wyjaśniła.

- Zjesz coś? - spytał Greg.

- Nie, dzięki - odparła. - Mam tysiąc spraw do załatwienia. I jeszcze zakupy.

- Jak przymiarki? - zapytał znów Greg.

Uśmiech Jane rozświetlił całą salę.

- Suknia będzie cudowna. Ta krawcowa, która robi poprawki, zna się na rzeczy i jest szybka.

Travis uśmiechnął się, nie przyznając się głośno do swoich myśli. Ślub przyjaciela miał się odbyć już za cztery dni.

Narzeczeni poznali się ledwie miesiąc wcześniej. Travis miał ochotę uprzedzić Grega, że czekają go różne przykre niespodzianki. Dwoje ludzi, którzy żyją ze sobą, zawsze się rani.

Może uda im się choć złapać na początku trochę szczęścia. Ale wiedział, że wystarczy kilka miesięcy, parę lat, i się za-

cznie. Bo zawsze w końcu przychodzi ból. Wiedział jednak także, że przyjaciel go nie zrozumie, bo zapamiętał się teraz w sentymentalnej miłości. Któregoś dnia zaczną się i dla niego ciężkie czasy.

- Travis - zwróciła się do niego Jane. - Greg powiedział mi o Dianie, tej szamance. Bajeczna sprawa dla chłopców.

Przytakując życzliwie, Travis pomyślał, że obecność Diany w Filadelfii ma dwa oblicza. Dla bliźniaków była opatrnością. Dla niego piekłem.

- Przykro mi, że jestem tak zajęta przygotowaniami i na nic więcej nie mam czasu - powiedziała Jane. - Bardzo chciałabym zobaczyć twoich chłopców. Obiecuj, że weźmiesz ich na ślub. No i Dianę, oczywiście. - Uśmiechnęła się szeroko. - Będzie twoją parą.

- Świetnie! - Travis wzniosł oczy ku niebu. - Właśnie o tym marzyłem. Randka z kobietą, której wolałbym unikać. - Wstał i rzucił na stół drobne za kanapkę. - Spotkamy się w pracy.

- Co? - Jane przenosiła spojrzenie z Grega na Sloana i z powrotem. - Co on powiedział?

- Nic takiego, kochanie - wyjaśnił Greg. - Biedny facet ma problem z hormonami.

- Jest chory? - spytała Jane.

Travis usłyszał w jej głosie szczerą troskę, mimo to nie zawrócił. Sunął w stronę drzwi, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że Sloan i Greg nie omieszkają wykorzystać okazji i wprowadzą Jane w szczegóły, tym samym strojąc z niego żarty, które wydadzą im się przezabawne. Dałby głowę, że w tym względzie przyjaciele go nie zawiodą.

- Tak, jest chory. - Greg wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

- Taa - chichotał Sloan. - Cierpi na seksualną demencję.

Travis, który jeszcze to dosłyszał, warknął tylko pod nosem, a policzki zaalała mu purpura. Problemy hormonalne? Seksualna demencja? Jego przyjaciele chyba kompletnie powariowali.

Chciał wszystkiemu zaprzeczyć. Energicznie. Ale nie mógł. Obawiał się, że Greg i Sloan wcale nie poszaleli. A także, iż bezbłędnie go zdiagnozowali.

RS

## ***ROZDZIAŁ PIĄTY***

W małej salce recepcyjnej Diana czuła się trochę obco. Od razu zauważyła, że Travis darzy swoich przyjaciół ogromnym szacunkiem. Byli bardziej jak bracia niż przyjaciele. W czasie tego uroczystego wieczoru ściskali się, żartowali, słowem zachowywali się tak, jak mają w zwyczaju członkowie bliskiej rodziny.

Jane, nowa pani Hamilton, prezentowała się świetnie w długiej do ziemi ślubnej sukni. Jasne włosy upięte miała w elegancki kok, a krótki, bogato wyszywany peretkami welon unosił się z tyłu jej głowy jak tiulowa chmurka.

Diana nie mogła uwierzyć, że Jane zdecydowała się na ślub po niespełna miesiącu znajomości. Jednak szaroniebieskie, radosne oczy panny młodej, ciągłe pocałunki, jakimi obdarzali się świeżo upieczeni małżonkowie świadczyły, że była to miłość od pierwszego wejrzenia, nieprzypadkowa, wobec której czas narzeczeństwa zupełnie nie ma znaczenia. Diana życzyła im tylko, by ich szczęście trwało dłużej niż kiedyś jej.

Szczęście? Czy takie wszechogarniające uczucie w ogóle towarzyszyło jej choć przez chwilę małżeństwa z Erykiem? Choćby w dniu, gdy składali sobie przysięgę wierności?

W porównaniu z uniesieniem, jakie uosabiała Jane, Diana czuła się w środku pusta. Tak, w związku z byłym mężem

nie doświadczyła ani minuty podobnego podniecenia, nie doznali nigdy radości, jaką dane było przeżyć Gregowi i Jane. Samo przypomnienie miesięcy spędzonych z Erykiem napętniało ją nieprzeniknioną i lepką ciemnością. Czasami wspomnienia - i samooskarżenia - były tak silne, że krążyły wokół, osaczały ją, chwytając w sidła i miotając nią niczym huraganowe wichury. Tym razem zdołała je odepchnąć, zanim porwały ją w nikczemny wir.

Przyglądała się, jak Greg i Jane tańczą, tuląc między sobą berbecia o czerwonej twarzączce, który, jak mówił Travis, był córeczką Grega o imieniu Joy. Tworzyli w trójkę rodzinę jak z obrazka. Diana zmówiła w milczeniu krótką modlitwę za ich wspólne szczęście.

Rozglądając się po sali bankietowej, znów poczuła się nie na swoim miejscu. Protestowała, gdy Travis poprosił, by towarzyszyła mu podczas ślubnej ceremonii. Nie miała ochoty znaleźć się w zamkniętym pomieszczeniu, tuż obok Trava w ciemnym fraku i śnieżnobiałej koszuli. Czarne ubranie doskonale harmonizowało z kolorem jego oczu. Włosy związał gładko z tyłu w schludny koński ogon. Ciarki przebiegały jej po całym ciele, a wyobrażenia podsuwała nieproszone obrazy. Na przykład jego miękkich włosów muskających jej skórę...

Od tamtej nocy w kuchni, od pamiętnego pocałunku, jego znaczenie w jej życiu niepomiaralnie urosło. Przekonała się wkrótce, że uczucia nie mają granic. Każde jego słowo, każdy ruch działał jej na zmysły, zakłócał codzienne zajęcia, mącił sen. Doszło do tego, że w jego obecności uciekały z jej głowy wszelkie myśli, a słowa zamieniały się w nieuchwytny dym.

Znienawidziła tę porę, kiedy kładła się do łóżka i zamiast zasnąć, toczyła walkę z jego dłońmi, ustami, twarzą, z wszystkimi tymi erotycznymi zjawami. Gdy tylko zamykała oczy, jej podświadomość wyczarowywała Trvisa niczym nocne widmo, które dokuczało jej słowami i drażniło palącymi opuszkami palców. Noc stała się dla niej koszmarem.

Odrzuciła zatem w pierwszej chwili zaproszenie na ślub. Travis znalazł jednak dość racjonalnych argumentów, by skłonić ją do zmiany zdania. Wesele było dla niej okazją poznania jego znajomych, ludzi, wśród których dorastać mieli chłopcy. Poza tym sam nie potrafiłby potem wyjaśnić bliźniakom indiańskich tradycji związanych ze ślubnym obrzędem, a na pewno - przekonywał ją - zaczną zaraz pytać.

Diana miała co do tego wątpliwości, ale zatrzymała je dla siebie. Jared i Josh są za mali, by myśleć o takich rzeczach. Ostatecznie jednak zgodziła się pójść, uważając, że da jej to mimo wszystko szansę na kolejną lekcję dla bliźniaków. Nie ma co kryć, była też ciekawa najbliższego otoczenia Trvisa.

Trojaczki Sloana, same dziewczynki, prowadziły teraz chłopców po sali, przedstawiając ich znajomym. Diana utwierdziła się w przekonaniu, że bliźniacy znaleźli się w pozytywnym, przyjaznym klimacie, który będzie im dobrze służył.

- Siedzisz tu tak samotnie.

Wzdrygnęła się, zaskoczona przez Trvisa.

- Przepraszam. - Zmarszczył brwi. - Nie chciałem cię przestraszyć.
- Ja... zamyśliłam się. Nic mi nie jest. - Uśmiechnęła się lekko, by go uspokoić i sprawić, by odszedł. Jak najdalej.
- Panna młoda uważa inaczej. - Mówił dziwnie spiętym

tonem. - Kazała mi więc poprosić cię do tańca - dodał. -  
Chce, żebyś się dobrze bawiła, bo jesteś jej gościem.

- Ale... znakomicie się bawię - pospieszyła z zapewnieniem. - Niczego mi nie brakuje.

Za nic w świecie nie da się unieść ramionom Trvisa i ukołysać w tańcu.

- Obiecuję, że będę się częściej uśmiechać - rzekła. -  
Pójdę przedstawić się tamtym... - Rozejrzała się i wskazała na pierwszą grupkę osób, jaka wpadła jej oko. - Tamtym ludziom.

- To za mało. - Travis wyciągnął do niej rękę. - Zatańczmy. Zróbmy przyjemność pannie młodej.

Wiedziała, że ma w oczach strach.

- Diano - powiedział miękko. - Wierz mi, że ja też nie mam na to ochoty. Ale... - wzruszył ramionami - chyba nie uda nam się wykręcić.

Spojrzała mu w twarz, potem na jego wyciągniętą dłoń, znów na twarz, chciała dalej protestować. Ale w końcu przyznała mu rację. Nie miała zamiaru sprawić przykrości Jane, zwłaszcza w taki dzień. Babka też kazałaby jej za wszelką cenę okazać wdzięczność i uprzejmość. Uszanować w najwyższym stopniu uroczystość i jej bohaterów. Bo tacy są Kolheekowie.

Wstała więc, podała mu rękę i pozwoliła poprowadzić się na parkiet, czując, jakby wiedziono ją na szubienicę. Myśl o czym innym, powtarzała sobie. Pomyśl o spacerze w lesie, o gwiazdach. O tym, jak po zakończeniu tańca pomaszujesz wprost do baru i zamówisz sobie drinka na uspokojenie.

Nieomal jęknęła, gdy obrócił ją twarzą ku sobie. Jedną rękę położył jej na ramieniu i jakby iskry posypały się po jej

skórze. Drugą delikatnie, lecz stanowczo chwycił jej dłoń. Jak na wysokiego mężczyznę o szerokich ramionach, poruszał się lekko. Nie ulegało wątpliwości, że to on prowadzi, kiedy krążyli na obrzeżach parkietu.

Diana starała się skupić uwagę na czym innym: na pozostałych tancerzach, na tych, którzy sobie ten taniec odpuścili, na dzieciakach bawiących się przy wejściu. Kierowała swą uwagę na wszystko i wszystkich, byle odwrócić ją od mężczyzny, który był najbliżej. Tak blisko, że czuła ciepło jego ciała i zapach wody kolońskiej.

Zacisnęła powieki, by łatwiej opanować zmysły. Narobią jej tylko kłopotu. Natrętne myśli nabrzmiewały tymczasem jak fala przyływu, grożąc jej, że zatoni. Nagle poczułajego spojrzenie i podniosła wzrok.

Jego pożądanie było bezwstydnie jednoznaczne. Zatykało, nie pozwalając oddychać. Była w pułapce. Schwytana, zahipnotyzowana. I choć ich ciała nie przestawały kołysać się w takt melodii, zdawało jej się, że stoją nieruchomo, jakby byli jedynymi ludźmi na sali. Jedynymi na całym świecie.

Wiedziała, że zaczyna ulegać swojemu podnieceniu. Ulegać przekłętej słodyczy, która napinała jej mięśnie i rozszerzała nozdrza. Miała wrażenie, że ich usta połączone są elastyczną taśmą, która przyciąga ich ku sobie coraz bliżej. Jego gorący oddech rozpałał już jej policzki, pożądanie rysowało się wyraźną kreską na każdej płaszczyźnie, w każdym zagłębieniu jego twarzy. Wydawało się, że czas się zawiesił. Wirując, wabiąc, pulsując.

Miała kolana jak z waty, a serce trzepotało jej niczym skrzydła przerażonego kolibra. Ich usta były spragnione i gotowe do pocałunku, tu, w tym publicznym miejscu, w obe-



ności wszystkich tych ludzi. A ona w żaden sposób nie potrafiła temu zaradzić.

Muzyka ucichła. W sali pojaśniało.

Diana i Travis stali jak przytwierdzeni do podłogi, przykuci do tej chwili. Solista ogłosił przerwę. Dopiero jego głos przywołał ich do świadomości. Równocześnie przebudzili się z jakiegoś niezwykłego, erotycznego transu.

- Cholera - mruknął Travis, odsuwając się od niej.

Diana czuła, że oboje mają kompletnie wyschnięte gardła.

Widziała, jak Travis rozgląda się po ludziach, jakby sprawdził, kto dostrzegł ich bliskość i jaką wywołało to reakcję.

- Chodźmy - powiedział szorstko, biorąc ją za rękę. -

Napijmy się czegoś.

- Kieliszek białego wina - odparła na jego pytanie przy barze, nawet nie zdziwiona swoim niedbatym tonem.

Nie słyszała, co zamówił dla siebie, ale sądząc po szklance, musiało to być coś naprawdę mocnego. Wypił łyk burztynowego napoju. Nabrał głęboko powietrza, aż wyraźnie uniosła się jego klatka piersiowa z napiętą na niej koszulą.

Ni stąd, ni zowąd zaciekawiło ją, jak wyglądałby bez koszuli, co czułyby jej palce, dotykając jego ciała.

Stop, rozkazała sobie natychmiast.

Wino było prawie bez smaku. Sączyła je powoli, ale już po trzecim łyku kolana przestały jej się trząść, a żołądek przestał boleć.

- Wiesz co - odezwał się po chwili, nie podnosząc nawet wzroku znad szklanki. - Żal mi ich.

Domyśliła się, że mówił o młodej parze,

- Tacy są teraz cholernie szczęśliwi - ciągnął - a minie chwila i wszystko się zmieni. Nawet nie zauważą kiedy. Za-

czną się kłótnie, walka. Ni z tego, ni z owego, pozornie bez powodu. To nieuniknione.

- To smutne - rzekła.
- Tak - przytaknął i wlał w siebie resztę alkoholu.

Wiedziała, że odebrał jej słowa jako potwierdzenie własnej opinii. W rzeczywistości wyraziła tylko swoje zdanie na temat złości, jaką wyraźnie w sobie skrywał. Jego braku wiary w miłość i związku.

Sama nie mogła sobie pozwolić na miłość, miała problem z dopuszczeniem do siebie mężczyzny zbyt blisko. Nie znała, że uważała to uczucie za mrzonkę. Wiedziała, że dla innych istnieje. Mogłaby spróbować ofiarować i jemu ten cudowny dar wiary. Tyle że dyskutując z nim na temat uczuć, jakie mogą łączyć kobietę i mężczyznę, ryzykowałyby, że odkryje przed nim swój problem. Taka lekcja mogłaby się jej udać tylko w masce niezaangażowanego terapeuty.

A to właśnie było najtrudniejsze. Ten mężczyzna podobał się jej, i to bardzo. Musiałaby przymierzyć się do nowej roli, pozostać z boku. Już to kiedyś przerabiała, a zatem sukces jest niewykluczony. Zrobi to, uda się, powtarzała śmiało w myślach.

Najpierw musi dogrzebać się do korzeni jego problemu. Jego argumentami przeciwko wiązaniu się z kobietą były rozwody rodziców i brata. Ale przecież zazwyczaj o naszym postępowaniu decydują osobiste doświadczenia, one skłaniają nas do takich a nie innych działań. Rozejście się rodziców niezaprzeczalnie odcisnęło na nim piętno, los brata także. Niemniej jednak cudze smutki, uważała, nie mogły zaważyć na stanowisku Trvisa.

W jego determinacji było coś więcej, czemu nie dawał

świadczenia publicznie. Aby w ogóle choć na jotę zmienić jego nastawienie, musi poznać dogłębnie historię jego życia. Powinna zatem znaleźć najpierw sposób, by nakłonić go do rozmowy o jego przeszłości i tą drogą wydobyć z niego ukryte motywacje. Pomyślała, że najlepiej będzie, jeżeli na pierwszy ogień wezmą kwestię rozwodu.

- Czasami - zaczęła więc z lekkim uśmiechem - żałuję, że nie urodziłam się kilkaset lat temu.

Popatrzył na nią z niekłamanym zainteresowaniem.

- Wtedy rozwód nie był żadnym problemem - wyjaśniła spokojnie.

Jego ciekawość rosta, ale uniósł tylko brwi.

- Kolheekowie byli chyba od zawsze społeczeństwem matriarchalnym. - Jej palce przesunęły się ku obrzeżu kieliszka. - Wszystko należało do kobiet. Nie było zatem podstaw do żadnych sporów o własność czy opiekę nad dziećmi. Jeśli kobieta chciała się rozwieść, musiała tylko wystawić przed szafas mokasyny, łuk i strzały mężczyzny, jego jedyną własność. Wiedział wówczas, że nie ma już prawa przebywać w tym domu.

- No no! - Odetchnął głęboko. - Żartujesz chyba?

Gdy potrząsnęła głową, z głębi jego piersi wydobył się chichot. Wprost marzyła o tym, by położyć tam swoją dłoń i poczuć wibrację jego śmiechu. Znów zatopiła w nim wzrok. Aż zabrakło jej powietrza, zakrzuszyła się i zaczęła kaszleć. Podniosła szklankę do ust, by ukryć rumieniec.

- To faktycznie prosta procedura - skomentował. - Gdyby ją wprowadzić, rozwody mnożyłyby się jak grzyby po deszczu.

- Chrześcijańscy misjonarze też byli zaszokowani prosto-

tą indiańskiego rozwodu. - Chłodziła gorące dłonie o zimny kryształ. - Ale nie zapominaj, że kiedyś małżeństwa Kolheeków nie miały nic wspólnego z miłością. Zwykle to rodzice wybierali męża dla dziewczyny. To był rodzaj kontraktu zawieranego z powodów ekonomicznych. Wydawano młodzieńką dziewczynę za dużo od niej starszego mężczyznę, by zapewnić jej na przyszłość dobrobyt.

Jej słowa pochłonęły go, było to widoczne w jego skupionym spojrzeniu.

- Jest taka przypowieść o młodej kobiecie - ciągnęła - zmuszonej do poślubienia mężczyzny, który wyświadczył jej ojcu wielką przysługę. Matka wiedziała, że dziewczyna nie chce tego ślubu. Pocieszała ją, że kiedy dorośnie i dojrzeje, będzie mogła poślubić tego, kogo sama wybierze.

Travis milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- No widzisz, nawet moi przodkowie nie wierzyli w długotrwałe związki.

- Ależ przeciwnie - poprawiła go szybko, po czym aż skrzywiła się z bólu na myśl o opowiadanej historii. - Takie małżeństwa w młodym wieku były... sprawdzianem. No wiesz, służyły zdobywaniu doświadczenia. A czasem stanowiły jedyną szansę na przeżycie. - Po chwili wahania dodała: - Według tradycji Kolheeków dziewczęta uczy się, że każda kobieta ma przeznaczoną sobie mężczyznę. Jednego jedyne. Wielkiego Wojownika, który będzie ją kochał, chronił, opiekował się nią. I każda dziewczyna ma za zadanie go odnaleźć.

Tym razem zaśmiał się gorzko.

- No, to już brzmi prawie jak bajka o księżniczce i rycerzu na białym koniu. Pewnie każda kultura ma swoje bajki,

pełne okrutnych żartów i wymysłów, które tylko łudzą i skazują łatwowiernych na życiową klęskę.

- Fakt istnienia gdzieś bratniej duszy nie jest okrutnym żartem - oburzyła się gwałtownie. - Ani bajką - dorzuciła, zaskoczona własnym wybuchem. Do tej pory nie zdawała sobie nawet sprawy, jak mocno w to wierzy.

Uniósł wysoko brwi.

- I co, czekasz pewnie na tego swojego wojownika?  
- Wydawało mi się kiedyś, że już go znalazłam - przyznała cicho.

Wyrzuciła z siebie te słowa bezmyślnie. Co za ironia, miała go skłonić do zwierzeń na temat jego przeszłości, a tymczasem o mały włos sama nie zaczęła czynić wyznań.

- Byłaś mężatką?

Nie widziała nic złego w odpowiedzi na jego pytanie. Nie życzyła sobie tylko, by poznał przyczynę rozwodu, nieznaną zresztą nikomu prócz niej samej.

- Tak - powiedziała.
- Ale już nie jesteś? - odgadł.
- Nie, już nie.

Dał sygnał barmanowi, by podał mu kolejnego drinka. Kiedy ten nappełniał mu szklanę, Travis zwrócił się do Diany:

- Co dla ciebie?
- Nic, dziękuję - odparła. - Wystarczy.

Oparł łokieć o kontuar i odezwał się:

- Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Większość ludzi rozwiedzionych charakteryzuje nieco bardziej negatywny stosunek do małżeństwa. Ci ludzie mają chyba w sobie więcej złości. Bezceremonialnie oskarżają swoich eks. To samo

było z moimi rodzicami i bratem. Ale u ciebie tego nie widzę i zastanawiam się dlaczego.

Zawahała się, zanim odpowiedziała. Travis drażył jej przeszłość. Obiecała sobie, że zrobi najwyżej jeszcze jeden krok w tym kierunku, by lepiej ją zrozumiał, i nie pozwoli dalej wciągać się w ten temat.

- Nie mogę oskarżać byłego męża - powiedziała - skoro to ja jestem winna rozpadowi naszego związku.

Pomyślała, że zdradziła już więcej, niż zamierzała. Pocięsała się myślą, że to konieczne, by skłonić Trvisa do podzielenia się z nią oświadczeniami. Tymczasem jej wypowiedź wzmogła tylko jego ciekawość. Widziała to, więc żeby uprzedzić kolejne pytania, zaczęła:

- Mówisz, że mój optymizm cię dziwi. Ja też coś ci powiem. Podjęłam temat rozwodów u Kolheeków z nadzieją, że dowiem się od ciebie... czemu jesteś takim zagorzałym wrogiem związków.

Zmiana kierunku rozmowy była mu wyraźnie nie na rękę.

- Już ci mówiłem - odezwał się wreszcie. - Rozwód moich rodziców był dla obojga koszmarem. Matka była wściekła, i nie przeszło jej do dziś. Ojca to zniszczyło. A zaraz potem rozpadło się małżeństwo brata, który dosłownie rozleciał się przez chciwość swojej żony. To chyba wystarczy, aby stwierdzić, że miłość śmierdzi.

Nie po raz pierwszy zszokowała ją głębia jego goryczy.

- Może. - Upiła łyk wina.

Travis ciągle nie odkrywał przed nią wszystkich kart, dałaby głowę.

- Ale... - odezwała się cicho - chciałabym wiedzieć, w jaki sposób miłość tak zraniła ciebie? I kiedy?

To pytanie uderzyło w niego jak kamień.

- Czy twoje szamańskie nauki zawierają czytanie w myślach?

Wiedziała, że to pytanie retoryczne. Unikał odpowiedzi, zagadywał czas. Zbierał myśli, które jej pytanie roztrzaskało na kawałki niczym kruche szkło.

Przyglądał się jej uważnie, a ona w jego twarzy odczytała w tym czasie kilka różnych emocji. Na początku był opór. Sprzeciw. Jak uparty osioł mógłby się zaprzeć nogami. Nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się z nią swymi przejściami. Mając swój własny sekret, rozumiała go. Mogła mu jednak pomóc wyłącznie pod warunkiem, że pozna to, co przed nią zataił.

Po buncie na twarzy Trvisa zjawiała się irytacja. Zwykły odruch obronny, który, jak się spodziewała, szybko minął.

Na końcu zmiękł i poddał się.

- Dobra - powiedział. - Przegrałem w miłości. Nie byłem pierwszy i na pewno nie ostatni. Ale żał mi głupców, którzy wciąż się w to bawią. Sami szykują sobie atak serca. Straciłem już na to ochotę. Nie chcę brać w tym udziału.

- Nie słyszysz, jak strasznie ponuro to brzmi?

- Jeśli nawet... Tak to właśnie wygląda.

Pomyślała, że jest na straconej pozycji i jak każdy w takiej sytuacji, chwyciła się ostatniej deski ratunku.

- No dobrze, jeśli przeżyłeś upadek miłości - rzekła pośpiesznie - to znaczy, że doświadczyłeś też jej wzlotów.

- Nie za wiele. - Uniósł szklankę do ust. - W każdym razie doszedłem do wniosku, że wszystkie te wzloty... odbywały się jedynie w mojej wyobraźni.

Diana bez słów okazała dezorientację, czekając na dalszy ciąg zwierzeń. Travis westchnął.

- Zakochałem się i myślałem, że Tara też mnie kocha.

Kiedy

się oświadczyłem, roześmiała się. Prosto w twarz. A potem...

Urwał, mówienie przychodziło mu z trudem. Przełknął ślinę, wreszcie złapał oddech.

- Zaczęła z satysfakcją wymieniać imiona innych studentów medycyny, z którymi się spotykała, a właściwie spała, w czasie, kiedy teoretycznie byliśmy parą.

- Tak mi przykro - wyszeptła poruszona. - To nieludzkie. - Przestała się dziwić, że miał w duszy tyle złości. - Ale na pewno spotkałeś w życiu także jakiś pozytywny model związku. - Popatrzyła, mówiąc te słowa, w stronę stołu, przy którym siedziała młoda para, śmiejąc się wraz z gośćmi. - Choćby Grega i Jane.

- Już ci powiedziałam, co ich moim zdaniem czeka. Jego upór był frustrujący.

- A Greg i matka jego córeczki? Musieli przeżyć jakies dobre chwile.

- Joy jest pamiątką po jednej randce. Pricilla była i jest złą kobietą, która marzy tylko o tym, żeby pozbyć się dziecka. Greg zgodził się więc wychowywać małą.

Diana rozpaczliwie szukała jeszcze jednego koła ratunkowego.

- A Sloan? - zapytała. - Mówisz, że jest wdowcem. Może jego małżeństwo było szczęśliwe?

Jeden z kącików ust Tralisa uniósł się pod wpływem uśmiechu albo obrzydzenia.

- Jeżeli poczucie winy, potępienie i wymówki składają się na to, co nazywasz szczęściem.



Odruchowo spojrzała na Sloana, który rozmawiał akurat z córeczkami.

- Wina i...? - Nie dokończyła; skrępowanie i zaciekanie walczyły w niej o lepsze. Kiedy spojrzała znów na Trvisa, potrząsała głową.

- Życia by nie starczyło, żeby to wszystko wyjaśnić - oświadczył. - To było trudne małżeństwo. Tak trudne, że on wciąż boryka się ze skutkami ubocznymi.

Spuściła wzrok, zagładając do kieliszka i nie widząc nawet znajdującego się w nim wina. Jej myśli pędziły jak tornado.

Siedzący u jej boku mężczyzna nie spotkał w życiu ani jednej szczęśliwej pary. Wszyscy wokół niego doświadczali bólu, gniewu, zachłanności, winy. I jak niby ona miała sobie z tym poradzić?

- Więc - odezwał się, stawiając pustą szklankę na barze - bez obrazy, ale teraz chyba już wiesz, dlaczego uważam, że całe to gadanie o bratnich duszach, wojownikach i rycearzach na białych koniach warte jest nie więcej niż kubeł pomyj.

## ***ROZDZIAŁ SZÓSTY***

Bożonarodzeniowy poranek przywitał ich, zgodnie z tradycją, opadami śniegu. Travis rozpałił w kominku i ruszył do kuchni.

- A sio! Już cię tu nie ma! - Diana machała na niego, stojąc w drzwiach.

- Chciałem tylko pomóc.

- No i wtedy nie będzie niespodzianki - powiedziała. - Świetnie sobie radzę. Wszystko już prawie gotowe. Zawołaj chłopców. - Jej twarz rozświetlił pewien pomysł. - Mogę podać śniadanie przed kominkiem?

- Wspaniale - stwierdził. - Rozłożę obrus na dywanie.

- Ślinka napłynęła mu do ust, kiedy wyczuł zapach cynamonu i melasy. - Ale jestem głodny!

- Idź już!

Żartobliwy rozkaz w jej oczach i głosie rozbawił go.

- Idę, idę - odparł, odsuwając się od drzwi. - Idę.

Wyglądała tego ranka wspaniale. Czarne wygodne legginsy opinały zgrabne nogi, a turkusowa jedwabna bluzka sięgała smukłych ud. Włosy splotła w gruby warkocz, którego końcówkę ozdobiła rzędem wielobarwnych koralików.

Travis był dotąd pod wrażeniem tamtej napiętej jak struna chwili z poprzedniego wieczoru, kiedy patrzyli sobie w oczy na parkiecie sali. Trzymając ją w ramionach, z trudem dawał

sobie radę z emocjami. Gdyby muzyka nie ucichła, gdyby solista nie ogłosił przerwy, chyba by nie wytrzymał i pocałowałby Dianę.

Miał sobie za złe, że tak beznadziejnie łatwo ulega instynktom. Sytuacja zmieniła się odrobinę po rozmowie o ich przeszłości, bratnich duszach i walecznych rycerzach. Poczł przyptyw siły, jakby ubranie w słowa emocji pozwoliło mu zdobyć nad nimi władzę.

Nawet jeśli jego ciało nie ustrzegło się słabości, utwierdził się tylko w swoich przekonaniach - myślał, idąc po obrus do komody, po czym rozłożył go przed paleniskiem.

Nie zdziwiło go, że Diana miała za sobą małżeńskie doświadczenie. To naturalne, że ktoś zwrócił na nią uwagę. Zdumiało go tylko, że obarcza się winą za rozstanie. Co takiego mogło do niego doprowadzić? - zastanawiał się.

To jedno pytanie nie dawało mu spokoju przez całą noc, nękało go jak myszy podgryzające świąteczne pierniczki. Małżeństwo Diany to nie jest co prawda jego sprawa. Nie powinien interesować się jej przeszłością, zwłaszcza teraz, kiedy z dumą umocnił się w swoim przekonaniu. Mimo to niedostępna mu tajemnica nie przestawała go nurtować.

- Zabierajmy się do jedzenia.

Melodyjny, radosny głos Diany ucieszył go, niezależnie od tłukących mu się po głowie zagadek. Odgonił chłopców spod choinki, gdzie zaintrygowani oglądali zapakowane prezenty.

- Dajesz słowo, że jest tam coś dla nas? — dopytywał się Jared, a jego oczy błyszczały nadzieją.

- Na pewno.

- Będziemy mogli otworzyć prezenty po śniadaniu? - naciskał dalej chłopiec.

- Oczywiście.

Diana mądrze poradziła Travisowi, by poświęcił bliźniakom trochę czasu, zanim dobiorą się do upominków. Dzięki temu ten świąteczny dzień będzie im się kojarzył z rodzinną atmosferą, a nie wyłącznie z nowymi zabawkami.

- Ja... no, mogę o coś zapytać? - spytał Josh z wahaniem, a Travis przyklęknął, by zniżyć się do jego poziomu.

- Co takiego, synku?

- Skąd święty Mikołaj wiedział, że tu jesteśmy?

Na drobnej twarzy chłopca malował się strach, który bardzo poruszył Trvisa. Uśmiechnął się ciepło.

- Zapewniałem was przecież wczoraj wieczorem - odparł Travis - że on wie wszystko.

Kiedy poprzedniego wieczoru kładł bliźniaków spać, zamartwiali się, jak święty Mikołaj odgadnie, gdzie ma zostawić dla nich prezenty. Travis, głaszcząc ich po głowach, przekonywał, że święty nie ma z tym żadnych problemów. A jednak, nawet widząc paczki pod choinką, chłopcy wciąż nie mogli do końca uwierzyć.

Zasiedli wszyscy przed kominkiem. Diana rozdała im serwetki i poprosiła, by rozłożyli je sobie na kolanach.

- Jeśli pozwolicie - zwróciła się do nich - odmówię modlitwę dziękczynną.

Po czym właściwie odśpiewała ją, a nie odmówiła. Miała wyjątkowo piękną barwę głosu, który podzielał na Trvisa jak drobny oczyszczający deszczyk. Zgadywał, że śpiewała w języku Kolheeków. Nie rozumiał ani słowa, ale sama me-

lodia przywracała wewnętrzną harmonię. Doskonały spokój, jakiego się nie spodziewał.

Potem jednak zaczęła śpiewać po angielsku. Poczut ciarki na plecach. I to nie tylko pod wpływem pieśni, także pod wrażeniem jej niezwykłego tańca. Krążyła wokół nich wdzięcznie podskakując, z rękami uniesionymi ku niebu i wysoko podniesioną brodą. W jej ruchach nie było śladu sztuczności. Tańcząc, cieszyła oko. Sprawiała też, że poczuł się dumny z bycia Kolheekiem i cieszył się, że dzięki niej i chłopcy poznają tę dumę.

Swoim tańcem i śpiewem dziękowała za piękno niepowtarzalnej chwili, za pokarmy, które na nich czekały, za obecność Jareda i Josha w domu Trvisa, i wreszcie za to, że Travis wziął ich pod swoje skrzydła.

Nagle świat zatrzymał się. Diana stała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, jakby czegoś oczekiwała, jakby chciała usłyszeć coś w bezmiernej, świętej ciszy. Jared i Josh przypatrywali się temu z powagą i ani drgnęli. Wreszcie otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Jesteście już gotowi posmakować tradycyjnych potraw Kolheeków? - zwróciła się do chłopców.

Odkrzyknęli z entuzjazmem. Zaczerpnęła tyżką wazową parujący pudding z kukurydzy i pierwszą porcję podała Travisowi.

- Musicie pamiętać - powiedziała - że Indianie nie znali białego cukru, zanim nie przywieźli go Europejczycy. Potrawy słodziło się miodem albo syropem czy cukrem z soku klonowego.

- Poproszę o ciastko.

- A wiesz, Jared - mówiła dalej - że nazywano je cia-

stkami podróżnymi? Bardzo szybko się pieką, a ponieważ są płaskie, bez kłopotu można je wziąć z sobą polowanie. - Zerknęła na Josha. - A ty na co masz ochotę?

- Co to jest to pomarszczone?
- Suszone owoce. Chcesz spróbować?

Kiedy przytaknęła, podsunęła mu miskę z kawałkami suszonych jabłek, orzechów i prażonych ziaren. Wzięła też trochę dla siebie.

- Wiosną i latem - kontynuowała - kiedy jest w bród czereśni, jabłek, brzoskwiń i jagód, kobiety suszą owoce na słońcu. W ten sposób można je zachować na zimę, kiedy śnieg pokrywa ziemię i brakuje pożywienia.

Pudding był gęsty i ciepły, podobny w smaku do deseru pszenicznego i budyniu. Smakowicie pachniał melasą.

Jedli w ciszy, aż serce Trávisa zabiło mocniej, kiedy zobaczył w oczach Diany znajome ogniki.

- Kto chce spróbować tego? - zapytała bliźniaków.  
- O rety! - zawołał Jared. - Prażona kukurydza na śniadanie!

- Dla waszych przodków kukurydza była bardzo ważna - tłumaczyła Diana. - Często stanowiła jedyne pożywienie w czasie długich zim. Gotowali ją, zapiekali, dusili...

- Prażyli też? - nieśmiało wtrącił Josh.

Przytaknęła.

- Meli ją także na mąkę, z której przygotowywali pudding, i piekli chleb i placki.

- Jakie placki?

- Takie smażone pieczywo, z cebulą i przyprawami albo na słodko z owocami. Jest naprawdę pyszne. - Sięgnęła po garść popcornu.

- Rzeczywiście trudno przecenić znaczenie kukurydzy  
- zauważył Travis.

- Jest święta - stwierdziła cicho Diana.

Jared przełknął ostatni kawałek podróznego ciastka, otarł usta serwetką i tęsknie zerknął na lśniące od ozdób drzewko i zapakowane kolorowo prezenty. Josh podążył za nim spragnionym wzrokiem. Travis z trudem powstrzymał grymas uśmiechu i skupił się na słowach Diany.

- Mamy nawet specjalne tańce - mówiła - i ceremonie na cześć kukurydzy. W college'u poznałam bardzo ciekawe indiańskie ludowe przypowieści, które mówiły, skąd się wzięło ziarno kukurydzy. Dawni Kolheekowie wierzyli na przykład, że pewnego dnia zstąpiła z chmur dziewczyna...

Jared kręcił się niemiłosiernie.

- Kiedy się skończy śniadanie?

Diana roześmiała się w głos, zarażając tym Trávisa.

- A ty skończyłeś jeść? - spytała chłopca.

- No! - Pokazał pusty talerz.

Spojrzała na Josha, którego talerz także był już pusty.

- W takim razie koniec śniadania.

Bliźniacy z radosnym krzykiem zerwali się na nogi i czym prędzej pognali pod choinkę.

Travis zerknął na Dianę.

- Przepraszam, że są tak niecierpliwi.

- Nic nie szkodzi. - Pochyliła się, by zebrać naczynia, i jej warkocz prześliznął się po jego ramieniu. - Skończę kiedy indziej. To głupio z mojej strony przetrzymywać ich, kiedy wiadomo, że nie mogą się doczekać prezentów.

Spontanicznie chwycił koniec jej długich, zaplecionych włosów, czując w dotyku chłód i gładkość koralików, i od-

rzucił jej warkocz na plecy, gdzie nie był narażony na zbieranie z talerzy resztek syropu klonowego czy indiańskiego puddingu.

- Wszystko, o czym mówisz, jest dla mnie bardzo interesujące.

Uśmiechnęła się, a on poczuł, że o kilka stopni wzrosła mu temperatura.

- Wiem - odparła.

Pokojem na moment zawładnęła cisza.

Nagle Diana odchyliła się nieco i powiedziała:

-Wiesz co...

Travis wyczuł wahanie w jej głosie.

- Może chciałbyś się też dowiedzieć czegoś innego? - Kącik ust uniósł się jej w półuśmiechu. - Te historie o jedzeniu pewnie trochę cię nudzą. Ale.

- Ależ skąd - zaprzeczył energicznie. - Wcale. Ale chętnie dowiem się więcej, jeśli tylko zechcesz.

- Oczywiście. - Uciekła wzrokiem, zajęta się zbieraniem resztek na tacę. - Możemy spotykać się na godzinę, jak chłopcy pójdą spać. Albo, kiedy zacznie się szkoła, będziemy mieć czas przed ich powrotem do domu. Jak wolisz.

- Jakoś to urządzimy - odparł łagodnie.

- Tak, jakoś to urządzimy.

Napięcie pękło z cichym poszumem. Travis odniósł niepokojące wrażenie, że właśnie coś się między nimi zmieniło. Jakby ostatecznie dali za wygraną. Poddali się nieznanemu, nieuchwytnemu, ulotnemu. Czemuś, czego nie da się ogarnąć. Wiedział tylko, że Diana wyraziła zgodę, by zapoznawać go z tradycją Kolheeków. A on rozpaczliwie pragnął tej wiedzy.



Odebrał jej naczynia z ręki.

- Pomóżmy im rozpakować prezenty - powiedziała, kładąc talerze i miski na tacy.

- Ale ja - była wyraźnie zmieszana - nie chcę narzucać się wam przez cały dzień. To jest rodzinne święto, chciałam tylko pokazać chłopcom nasze potrawy...

- Przestań - skarcił ją delikatnie. - Ty też należysz do tej rodziny. - Uśmiechnął się. - Poza tym, może jest dla ciebie prezent pod choinką.

- Naprawdę?

W tym jednym słowie było ogromne zdziwienie. Potem jej twarz rozbłyła dziecięcą radością, która rozbawiła Travi-sa. Oczywiście nie spodziewała się żadnej paczki tego ranka. Dzięki temu czas; jaki poświęcił na wybranie dla niej paru drobiazków, nabrał dla niego dodatkowego znaczenia.

- Czy ty w ogóle obchodzisz Boże Narodzenie? - spytał poruszony nagłą myślą, bo nie miał zamiaru obrazić jej wiary. Jej uśmiech był pełen ciepła.

- Boże Narodzenie to takie wspaniałe święto, że dzieci Kolheeków kochają je tak samo jak inne dzieciaki na świecie. Widzisz, nasz naród mistrzowsko splata stare z nowym, z czego powstaje oryginalny, nasz własny wzór, nasza tkanina. Zmieniamy się. Adaptujemy. Przyglądamy się innym wierzeniom i czasem coś z nich bierzemy dla siebie. Dzięki temu jesteśmy silni. Dzięki temu wciąż trwamy.

Wyobrazenie przodków, ich historii i wiary jako, mocnej tkaniny wydało mu się znakomite. Tkanina ta wciąż była tkana, nieustannie tworzona, co po raz pierwszy pozwoliło mu myśleć, że jeszcze nic straconego, że może jeszcze zostać jednym z Kolheeków. To odkrycie zacisnęło mu gardło.

- Dziękuję - szepnął.

Ten wyraz wdzięczności zdumiał ich oboje.

- Za co? - spytała.

Nie dane mu było jednak odpowiedzieć. Chłopcy wołali ich do siebie. Nie mogli czekać ani minuty dłużej.

Półtorej godziny później Travis siedział w salonie sam.

Na podłodze walały się kawałki ozdobnego papieru i kolorowe wstążki. Nie pamięta! podobnych świąt. Spędzał czasem Boże Narodzenie ze Sloanem i jego córkami, ale zawsze przyjeżdżał do nich po południu, kiedy szaleństwo rozpakowywania prezentów było już dawno zakończone. Tym razem, za sprawą chłopców, święta nabrały specjalnego charakteru. Ich śmiech i nieposkromiona radość odmieniła wszystko.

- Napijesz się kawy?

- Poproszę - odparł, patrząc na parujący dzbanek.

Diana usiadła na drugim końcu kanapy.

- Powinienem raczej posprzątać - powiedział - a nie pławić się tu w błogim lenistwie. Zaraz przyjdzie Sloan z dziewczynkami.

Greg i Jane wyjechali w podróż poślubną, zabierając małeńką Joy. Travis i Sloan zdecydowali się zatem na krótkie spotkanie podczas lunchu, zamiast długiego świątecznego obiadu, jaki zazwyczaj organizowali.

- Jeszcze czas. - Wolno popijała kawę. - Masz chyba prawo spokojnie wypić filiżankę kawy.

Wciągnął głęboko intensywny aromat.

- Wiesz - odezwał się po chwili. - Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek przeżywał świąteczny poranek tak radośnie jak Jared i Josh.

- Dobrze czasem popatrzeć na świat oczami dziecka -

stwierdziła. - Nie tylko cieszysz się wtedy razem z nim, ale jego radość sprawia, że zostają potem tylko dobre wspomnienia.

Oplótł palcami gorący kubek.

- Chyba źle się wyraziłem. - Jego wzrok przesłoniło zakłopotanie. - Chciałem powiedzieć - tłumaczył - że święta nigdy nie dostarczyły mi tyle radości.

- Nigdy? - Zmarszczyła brwi.

Potrząsnął głową, myśląc o przeszłości. Intensywnie myśląc. Wzruszył ramionami.

- Może kiedyś, na początku. Ale odkąd pamiętam, Boże Narodzenie zaczynało się od niewinnych sprzeczek, a kończyło niezmiennie na burzliwych kłótniach między rodzicami. Jeden wielki wrzask, przed którym uciekaliśmy z bratem do naszego pokoju. Nie lubię do tego wracać.

- Wybacz - powiedziała.

Nie wiedział, czemu jej się zwierza. To chyba jej spokój zapraszał do podzielenia się tak intymnymi sprawami.

- Szkoda, że rodzice wyposażyli cię tylko w takie wspomnienia. Dorośli powinni być mądrzejsi. -1 dodała po chwili: - Musieli być ze sobą bardzo nieszczęśliwi, jeśli zachowywali się w ten sposób w obecności dzieci. Może... - Jej głowa przechyliła się lekko. - Może w ogóle do siebie nie pasowali.

Westchnął. Coś w jej wypowiedzi sprawiło, że chciał to przerwać. Przemyśleć. Spojrzeć na przeszłość uważniej, poprzez znaczące stwierdzenie, jakie właśnie usłyszał od Diany. Ale na jego usta pchały się kolejne słowa, nie pozwalając nawet na chwilę zastanowienia.

- Rozwód nie zmienił niczego na lepsze. Matka bez koń-

ca gorzko narzekąca, że ojciec daje za mało pieniędzy na prezenty i pozostałe wydatki. A znów ojciec dzwonił i skarżył się, że matka nie pozwala mu nas odwiedzać. Czułem się winny, że go kocham. Czułem się winny, że kocham matkę.

- Bolesnie westchnął. - Nie lubiłem świąt.

- To rozumiałe.

Niesforny kosmyk włosów wysliznął się z warkocza Dianny. Mimowolnym gestem założyła go za ucho. Niespodziewanie Travis poczuł się zmieszany, jakby zburzył świąteczny nastrój.

- A ty? - spytał, starając się zmienić ponury ton. - Jakie były twoje święta w dzieciństwie?

- Moja babka - zaczęła - dbała o to, żeby były to dni szczególnie. Nie znam swoich rodziców. Podobno mój ojciec był alkoholikiem. Któregoś wieczoru wyszli gdzieś z mamą. Kiedy wracali do domu, ich samochód wpadł do wąwozu. Ojciec prowadził. Żadne z nich tego nie przeżyło. Wychowała mnie babcia. - Uśmiechnęła się. - Strasznie mnie rozpuszczała, szczerze mówiąc. Zwłaszcza w urodziny i święta. Dziadkowie nie byli zamożni, ale dali mi wszystko co potrzebne. - Jej uśmiech wyrażał zadowolenie. - I mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Miałam wielkie szczęście. Byłam kochana. - Przerwała na moment, wstrzymując oddech. - Dziadek zmarł, kiedy byłam w college'u. Brak mi go. - Znowu zrobiła pauzę, po czym kontynuowała ciszej: - Tak bardzo go kochałam. Zastępował mi ojca. Wychodząc za Eryka, miałam chyba nadzieję, że przejmie z kolei jego rolę. To był straszny błąd. A babcia.

Błysł jej ciemnych, czekoladowych oczu wyrażał głębokie uczucie i przywiązanie.

- Zresztą, miałaś okazję ją poznać. Ma charakter!  
Travis tylko chrząknął potakująco, bo właśnie z hukiem zbiegał z góry Jared. Josh szedł za nim, grając na drewnianym flecie, który dostał w podarunku od Diany. Obu zresztą dała ten sam instrument.

- Pokaż mi jeszcze raz, jak się w to gra - poprosił Jared, wręczając Dianie drugi prezent, jaki od niej dostał.

Jak wszystkie normalne dzieci, bliźniacy odłożyli najpierw na bok tę grę - jakieś dziwaczne sznurki z dziurawymi koralikami, rzucając się na błyszczące elektroniczne gadżety. Teraz jednak musieli zaspokoić ciekawość. Josh odłożył flet i podszedł bliżej.

Pokazała im, jak należy podrzucać koraliki, by złapać je następnie na tępo zakończoną igłę, jeden na drugi, tyle, ile ich się tam zmieści. Travis przyglądał się z uwagą całej trójce. Diana tłumaczyła, że jest to gra zręcznościowa, wymyślona przez Indian setki lat temu. Ma na celu wyrobienie równowagi i koordynacji ręki i oka.

Bliźniacy, ku zaskoczeniu Travisa, nie rywalizowali ze sobą. Każdy potraktował grę jako osobiste wyzwanie. Travis nie miał nic przeciwko współzawodnictwu, ale jego nowi synowie byli na to jeszcze za mali. Zaśmiewali się z kolejnych nieudanych prób. Wreszcie Joshowi udało się złapać na igłę drugi koralik.

- Hurra! - Jared pogratulował bratu. - Jak to zrobiesz?  
Josh promieniał.

- Nie wiem, miałem szczęście.

- Ta gra wymaga ćwiczenia - rzekła Diana, - I to sporo.

Wsparty o poduszkę, Travis sączył kawę i nie mógł się nadziwić swojemu dobremu samopoczuciu. To nie gorąca

kawa tak go rozgrzewała, ale radość i wdzięczność, jakie przepełniały go po brzegi przy każdym spojrzeniu na bliźniaków.

Jego życie już nigdy nie będzie takie jak było.

Mieli w tym swój udział chłopcy. Ale miała też Diana. Teraz pilnie wprowadzała ich w tajniki gry, lecz równie starannie uczyła ich wszystkich innych rzeczy, których nie mieliby okazji bez niej poznać. Wywarła też na niego niezaprzeczalny wpływ. Zdołała zmienić jego punkt widzenia.

Był jej za to wdzięczny. Postanowił dać temu wyraz przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Pierwsze Boże Narodzenie w nowym domu wypełniła rodzina, przyjaciele i świetna zabawa. Teraz chłopcy byli już w sypialni. Przy łóżku Jareda stał jaskrawoczerwony wóz strażacki. Chłopiec najchętniej schowałby go pod przykrycie, gdyby tylko Travis mu na to pozwolił. Josh trzymał przy sobie grę od Diany. Miał mnóstwo radości, pokazując córkom Sloana, jak sobie z tym radzi. Co prawda częściej chybiał celu, ale to ani na jotę nie zmniejszyło jego entuzjazmu.

Travis delikatnie odebrał Joshowi grę i podciągnął koc. Po kolei ucałował synów na dobranoc. W drzwiach zatrzymał się jeszcze, by spojrzeć ostatni raz tego dnia na swoje największe szczęście, zamknął drzwi sypialni i zszedł na dół.

W całym salonie porozrzucone były zabawki. Już miał je pozbierać, kiedy poddał się sam nieprzeparłej chęci zabawy. Wziął do ręki igłę i podrzucił koraliki nieznacznym ruchem ręki. Bezowocnie celując w otwory wirujących w powietrzu kulek, roześmiał się. Powtórzył próbę, również bezskutecznie. Zachichotał.

- To naprawdę wymaga praktyki - odezwała się zniecierpliwiona Diana. - Oryginalnie to się nazywa Igła i Kość.

- Kość?

Pokiwała głową.

- Wykorzystywano do niej drobne kości stóp jeleni. Robiono w nich otwory i nawlekano. A igłę robiono także z kości albo z drewna. O mało nie powiedziałam córeczkom Sloanie o tych kościach, ale pomyślałam, że raczej im się to nie spodoba.

- Ale wyobrażasz sobie, jaką chłopcy mieliby frajdę, gdyby zaczęły piszcząć? - roześmiał się znowu.

Odstawił grę na stolik do kawy i spojrzał na lampki mrugające na choince.

- To był najlepszy dzień w moim życiu.

Ta myśl nie opuszczała go przez cały dzień. A przy Dianie tak łatwo się ją wypowiadało.

- Odtąd już zawsze będziesz miał szczęśliwe święta - powiedziała. - Dzięki temu, że w twoim życiu znaleźli się ci dwaj chłopcy.

Podrapał się w kark. Tak bardzo pragnął, by miała rację. To prawda, wszystkie święta będzie odtąd spędzał z bliźniakami, a jednak bał się, że Boże Narodzenie nie będzie już nigdy więcej tak radosne i w pełni satysfakcjonujące.

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

- Chcę ci podziękować - powiedział. - Za... wszystko.

Oczy Trvisa były tak ekspresyjne, że prawie zrobiło jej się słabo. Nadszedł kolejny wieczór, ich niebezpieczna pora. Skończyli właśnie lekcję i zdawało się, że znowu zostali schwytani w tę samą sieć, naciągniętą do granic możliwości.

Spotykali się tak już przez cztery wieczory, gdy tylko bliźniacy zasnęli. Diana rozpoczęła wprowadzanie go w świat Kolheeków od wyjaśnienia plemiennej organizacji.

Podstawowa jednostka społeczna, tłumaczyła, jaką jest rodzina, składa się z ojca, matki oraz ich potomstwa. Zdarza się często, że majątny mężczyzna ma więcej żon. Rodzice kochają dzieci i troszczą się o nie. Kara cielesna należy do rzadkości. Zazwyczaj rodzice rozmawiają z dzieckiem, które coś zbroiło, i wskazują mu właściwe postępowanie. Cała wioska interesuje się wychowaniem dzieci i wszyscy biorą udział w sprowadzaniu na dobrą drogę tego, kto pobłądził.

Do elity należą klany, związane więzami krwi lub za pośrednictwem adopcji. Wszyscy członkowie klanu uważają się za siostry i braci, a zatem nie mogą zawierać między sobą małżeństw. Partnerów dobiera się wobec tego spoza klanu. Każdym klanem rządzi wódz. Jeśli obrazisz jednego członka klanu, to tak jakbyś obraził wszystkich, i wszyscy ruszają na wojenną ścieżkę.



Każdy szczep składa się z kilku wiosek, których mieszkańcy dzielą się na trzy klasy. Członkowie klanu i ci, w których płynie królewska krew, należą do szlachty. Średnia klasa to zwykli członkowie społeczności, którzy tworzą większość. Najniżej w hierarchii stoją ci, których pozycja bliska jest niewolnikom. Są oni zazwyczaj sługami jednej z dwu wyższych klas. Plemieniem rządzi główny wódz, pochodzący zawsze ze szlachty.

Jak większość mężczyzn, Trivisa zafascynowały wojenne opowieści Diany. Dwa wieczory poświęciła na wytłumaczenie mu związanych z tym zwyczajów. Tak jak gra, którą podarowała chłopcom, służyła do rozwinięcia określonych umiejętności, tak i inne indiańskie gry i zabawy miały na celu wzmocnienie najważniejszych cech wojownika: odwagi, zręczności, niezależności, siły, wytrzymałości i waleczności. W centralnym miejscu każdej wioski znajdował się plac, gdzie mężczyźni przygotowali się do przyszłych wielkich zwycięstw.

Każdy młody mężczyzna mógł obserwować taniec wojenny, ale brał w nim udział dopiero po ukończeniu szesnastego roku życia. Wtedy musiał zresztą przejść test na dojrzałość i samodzielność. Prowadzono go w odludne miejsce, z związanymi oczami, w samym środku zimy, i miał przeżyć uzbrojony jedynie w łuk i strzały, nóż oraz topór. Jeśli wiosną powrócił do domu, znaczyło to, że zdał egzamin.

Tego wieczoru mówiła mu o tym, że nawet drobny, spowodowany incydent czasem wywołał wojnę. Obrza natychmiast rozpałała ogień bitewny. I nie ma z tym nic wspólnego okrucieństwo czy żądza krwi, pokreśliła. Liczy się honor, klucz do wielu wojen.

W przeddzień bitwy odbywał się taniec wojenny. Wieczorne niebo oświetlały ogromne ogniska, podniecenie faloowało w tłumie wojowników. Kiedy zaczynał mówić dowódca, zapadała cisza. Jeśli w bitwie brała udział duża armia wojowników, prowadził ich sam główny Wódz. Nieważne jednak, kto do nich przemawiał, słowa płynęły prosto z serca, bo lider wzywał ochotników i prosił, by duchy zapewniły im zwycięstwo.

Zgodnie z tradycją, atakujący powinni ostrzec wroga, wtykając strzały w pobliżu jego wioski. Atak zwykle następował o świcie. Czasami za poległych z własnego plemienia brano wroga w niewolę. Bywało, że taki zaakceptowany przez innych więzień, zajmował miejsce zabitego męża czy syna. Jeśli zaś plemię go nie zaakceptowało, czekała go długa i straszna śmierć.

Diana zakończyła wykład opisem strzał, noży i kijów używanych w bitwie. Pokazała mu kilka książek, które przywiozła ze sobą z rezerwatu, a on patrzył z podziwem na rysunki przedstawiające uzbrojenie Indian z Nowej Anglii.

Wylewne podziękowania, jakimi zarzucał ją po każdej lekcji, bardzo ją peszyły.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił.
- Czego?
- Nie dziękuj mi... - zawahała się. - Nie w ten sposób.

Zachmurzył się.

- Niby jak?
- Przecież wiesz. - Zdenerwowana, zaśmiała się i odwróciła wzrok. - Tak jakoś... za bardzo. Głupio się czuję. Lubię o tym opowiadać, nie musisz... - Nie dokończyła, skrępowana.

Odkąd zaofiarowała się, że wprowadzi go w świat jego przodków, układało im się lepiej. Śmiali się razem, a ona była zachwycona jego zainteresowaniem. Zadawał ciekawe pytania i robił mądre uwagi. Przyjemnie było wspólnie spędzać czas. Ciążyły jej tylko te sztywne momenty pożegnania przed udaniem się na spoczynek.

- Nie chciałem cię wprowadzać w zakłopotanie. - Zniemacka dotknął jej dłoni. - Chcę tylko, żebyś wiedziała, ile to dla mnie znaczy.

W jej żołądku zagotowało się. Jego ręka była ciepła i silna. Wpadła w panikę. Nie, zdała sobie sprawę, to nie jego dotyk tak nagle ją zaniepokoił. To także towarzyszące mu słowa. Intymność w mowie i w geście.

Jej myśli skłębiły się, nieznośna konstatacja rozsadzała jej głowę. Działo się tam coś ważnego. Musi coś przemyśleć, ale na pewno nie tu, nie w obecności Trvisa.

- Jestem zmęczona - wypluła niemal to hasło, wstając.  
- Idę spać. Dobranoc.

Nie dając mu szansy na odpowiedź, pobiegła do swojej sypialni na piętrze. Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi, poczuła się wystarczająco bezpiecznie, by móc opanować bałagan, jaki zapanował w jej głowie, kiedy Travis wyciągnął ku niej rękę.

Przyznali się oboje, że są dla siebie atrakcyjni. Równocześnie przyrzekli sobie z całej siły ignorować ten wabik. Travis nie ma więc prawa patrzeć na nią z taki sposób. W jego ciemnych oczach taito się jakieś sekretne znaczenie. Jakieś silne postanowienie, I jeszcze te cowieczorne podziękowania, które doprowadzały ją do szału! Był pewnie szczery, ale rozpała! w niej beztadne emocje.

Swoją drogą, jego tęskne spojrzenia tworzą logiczną całość z tą wylewną wdzięcznością, pomyślała. Czuła to. Ale nawet to stwierdzenie nie pomogło jej rozwiązać dręczącego ją dylematu, niezależnie od tego, ile wkładała w to wysiłku.

Następnego dnia wczesnym rankiem natknęli się na siebie w kuchni. Diana parzyła herbatę.

- Dzień dobry - odezwał się.

Na jej widok dostał gęziej skórki. Upiętyło już tyle czasu, odkąd mieszkali razem. Kto by się spodziewał, że ciągle będzie to tak przeżywał. Nawet kiedy nie zdążyła jeszcze uczesać włosów ani zrobić makijażu, dla niego wyglądała fantastycznie.

Miał za sobą prawie nieprzespaną noc. Wciąż nie poradził sobie z problemem, który ujawnił się w dzień Bożego Narodzenia. Postanowił zatem przedyskutować go z osobą, która go wywołała, bo wiedział, że inaczej nie odzyska równowagi.

Jedno spojrzenie na nią wystarczało, by trzewia mu się zapętlili. Przerażające fizyczne reakcje nie zniknęły, choć obiecali sobie nad nimi pracować. Teraz chyba wiedział wreszcie, dlaczego tak się działo.

Miał ogromną potrzebę, by przedyskutować z nią swoje reakcje wraz z pewnym jej sformułowaniem, które padło w święto Bożego Narodzenia.

- Już na nogach?

- Tak - odparł. - Myślałem, że zdążę przygotować dla nas kawę. W takim razie upichcę jakieś śniadanko.

Położyła zużytą torebkę herbaty ekspresowej na spodku.

- Wybacz, ale w tej chwili niczego nie przelknę. Nawet jakoś nie mam ochoty na kawę. Herbata mi wystarczy.

Zauważył, że była blada i spięta.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Jestem tylko zmęczona. - Nie wchodząc w szczegóły, podniosła filiżankę. - Jeśli się nie pogniewasz, pójde do siebie. Chłopcy jeszcze śpią...

- Tak tak - przytaknął pospiesznie. - Właśnie dlatego miałem nadzieję, że już wstałaś i pogadamy.

Przez moment myślał, że mu odmówi.

- Proszę - dodał, zanim odrzuciła jego prośbę. - Chcę ci coś powiedzieć.

Westchnęła zrezygnowana, przysunęła sobie krzesło, postawiła filiżankę z powrotem na stole i usiadła.

Czekała, co ma do powiedzenia, a jego nerwy były u kresu wytrzymałości. Jak miał jej przekazać wszystkie rozterki, jakie towarzyszyły mu przez minione dni, kiedy sam nie był w stanie jakoś sobie tego pouklądać? A może nawet pouklądał, ale wnioski, jakie z tego wyciągnął, wydawały mu się wprost niewiarygodne. I właśnie przed paroma godzinami stwierdził, że musi podzielić się z Dianą myślami, musi poinformować ją, że zmienił zdanie. Bo odmieniło się jego serce. Obawiał się jedynie, co ona na to powie.

- Sekundkę, tylko zaparzę kawę.

Wsypał odmierzoną ilość ziaren, nalał wodę i włączył elektryczny ekspres do kawy. Te kilka chwil wypełnionych prostymi czynnościami pozwoliło mu zebrać myśli i uspokoić się. Wzmocnił się jeszcze głębokim oddechem, podszedł do stołu i siadł tuż przy niej. Miał nieprzepartą chęć jej dotknąć, ale zabrakło mu odwagi. Nie chciał jej też przerazić ciężarem swoich refleksji i odczuć.

Splótł oparte o stół dłonie.

- Przede wszystkim chcę ci powiedzieć - zaczął powoli, by nie tracić wątku - że jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Pomagasz moim chłopcom, pomagasz mnie. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale za to jestem ci ogromnie wdzięczny.

Czyżby jej cynamonowe oczy zwężyły się podejrzliwie? - pomyślał. Czemu miałyby nie dawać mu wiary? Mówił przecież z największą szczerością, z sercem na dłoni.

Po chwili milczenia odezwała się znużonym głosem:

- Dziękowałeś mi już wczoraj wieczorem, Travis. I przedwczoraj, i jeszcze wcześniej. Mówiłam ci, że to niepotrzebne. - Odsunęła krzesło parę centymetrów. - Jeśli to wszystko...

Delikatnie złapał ją za rękaw, kiedy się podnosiła.

- Nie. Nie wszystko.

Nie ruszyła się z miejsca, ale dziwnie zeszywniała. Wiadział to w mięśniach jej przedramienia, czuł to w powietrzu. Niechętnie uniosła ku niemu wzrok.

- W Boże Narodzenie powiedziałaś coś, co mnie zasta-nowiło - mówił. - A właściwie wszystko dla mnie zmieniło.

Stwierdził, że jego zdenerwowanie wzmacnia tylko jej napięcie, choć pojęcia nie miał, w jakim naprawdę Diana znajduje się stresie.

- Mówiliśmy o moim dzieciństwie - ciągnął. - O kłótniach moich rodziców.

- Pamiętam - odparła miękkiem szeptem.

- Zauważyłaś wtedy, że moi rodzice widocznie do siebie nie pasowali.

Zaniepokojona, ściągnęła usta.

- Wybacz, nie osądzałam ich. Wierz mi, powiedziałam tylko swoje zdanie.

- Nie obrażę się. Nie mógłbym, bo miałaś rację. Był świadom tego, że Diana pojęcia nie ma, dokąd prowadzi ta rozmowa. Tyle pragnął jej powiedzieć! Bał się tylko wystraszyć ją wnioskami. Nie spieszył się zatem, wiedział, że Diana zrozumie wszystko w odpowiednim czasie.

- Na weselu powiedziałaś... - urwał dla zaczerpnięcia powietrza - że Kolheekowie uczą dziewczynki, że każdej z nich przeznaczony jest jeden mężczyzna, wielki wojownik. ..

No i znów nieufność zachmurzyła jej twarz.

- A ty od razu stwierdziłaś, że to bzdura.

Zaśmiała się.

- Pamiętam.

Kuchnię wypełnił mocny aromat kawy. Travis, skupiony na rozmowie, ledwie zanotował.

- Powiedz, co na to twoja babka? Też ci mówiła, że masz gdzieś swoją drugą połowę?

- Oczywiście - przytaknęła. - Wszystkie kobiety opowiadają swoim córkom o miłości. To równie naturalne jak opowiadanie o ptakach i pszczołach. O seksie. Historia byłaby niekompletna bez rozdziału o fizycznym związku kobiety i mężczyzny.

- I co powiedziała? - pytał, coraz bardziej pobudzony.

- Jak miałaś rozpoznać tego, kto jest ci przeznaczony? Tego jedynego?

- Po czym go poznać... - rzekła z wahaniem. - Travis, o co ci właściwie chodzi?

- Odpowiedz, proszę. - Zaciśnięła palce na jej nadgarstku, walcząc z niecierpliwością.

Diana spojrzała na sufit, jakby to miało pomóc jej pamięci.

- Tak naprawdę - zaczęła, pochylając głowę, by patrzeć mu w oczy - kazała mi tylko słuchać własnego serca. To ma być dla mnie wskazówka. - Zniżyła głos. - Właśnie to.

- A co podpowiadało ci serce w związku z twoim byłym mężem? Mówiło ci, że to jest ktoś na dobre i na złe?

Rumieniec zalał jej policzki.

- Cóż, nie wiem - wyjąkała, odwracając wzrok.

Nie miał zamiaru wprawiać jej w zakłopotanie. Bolało go, że tak się stało, ale musiał wiedzieć, co znaczył dla niej tamten człowiek.

- Nie... nie myślałam o tym. Babcia opowiadała mi te historie, kiedy byłam mała. - Wzruszyła ramionami. - Spotkałam Eryka, kiedy opłakiwałam jeszcze dziadka, i chyba nie wstuchiwałam się, co ma do powiedzenia moje serce. Było nam dobrze i małżeństwo wydawało się logicznym rozwiązaniem. - Jej policzki jeszcze poczerwieniały, a głos stężał, kiedy powiedziała: - Nie sypiałam z wszystkimi naokoło.

- A więc za niego wyszłaś - powoli ubierał w słowa swoje myśli - nie dlatego, że potrzebowałaś kogoś, kto zastąpi dziadka, ale dlatego, że chciałaś poznać seks.

- Co za idiotyzm!

Próbowała się wyrwać, ale mocno trzymał jej rękę.

- Nie wstydź się, proszę. Staram się tylko to zrozumieć.

- Co zrozumieć? - Jej oczy zapłonęły gniewem. - Czego ty właściwie chcesz?

- Chcę - odparł, a wzburzenie, jakie dotąd starał się trzymać na wodzy, wypłynęło gwałtownie jak wezbrana woda



przez przerwana tamę - zrozumieć, co się ze mną dzieje. Pojąć tę nadzwyczajną, niewiarygodną emocjonalną huśtawkę. Uczucie, jakie mam dla ciebie. Staram się dowiedzieć, jak moje uczucie do ciebie ma się do... do twojej uwagi o moich rodzicach i ich niedopasowaniu.

Kręciła głową z szeroko otwartymi oczami. Nic dziwnego. W jego słowach nie było krzty sensu. Wzięła głęboki oddech.

- Wierzę, że co do moich rodziców masz świętą rację.

Nie

powinni byli w ogóle być razem. Stąd wzięto się ich rozstanie i rozwód, bo było to naturalną konsekwencją niedobrego związku. Mój brat i jego żona zapewne też nie nadawali się dla siebie. A mnie dokładnie z tego samego powodu nie udało się z Tarą.

Podniecenie zbliżało go ku Dianie. Drugą ręką chwycił ją za łokieć.

- Ty rozstałaś się z mężem, ponieważ nie byliście bratnimi duszami. - Zwilżył wargi. - Nie byliście dwoma połówkami jednego jabłka.

Jej rozszerzone źrenice wyrażały dziwną mieszankę zażenowania i zdumienia, ale to nie powstrzymało Trávisa. Jeszcze się do niej przysunął, cytrusowy zapach jej skóry wydał mu się najbardziej erotycznym zjawiskiem, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia.

- To, co do ciebie czuję - szeptał - te silne fizyczne emocje, jakich doświadczam w twojej obecności, pozwalają mi sądzić...

Dzielała ich przestrzeń niepostrzeżenie kurczyła się.

- Że może...

Był tuż-tuż.

- Że my...
- Tak?

Nie był pewny, czy usłyszał to słowo, czy tylko odczytał z jej niemych ust. Poczut jednak, jak ciepły słodki oddech taskocze jego policzek i całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Że my jesteśmy sobie przeznaczeni - wyszeptał o milimetr od jej twarzy. Dotknął wargami do jej ust... i poczuł, że nareszcie jest w domu.

W głowie Diany nastąpiło krótkie spięcie. Travis przysuwał się bez końca, był śmieszny w tym swoim upartym drążeniu przeznaczenia dusz. Kompletnie bez sensu. Bez żadnego sensu.

A potem jego usta, pełen pożądania pocałunek, rozpalone dłonie na jej plecach, w jej włosach, skonfundowały ją jeszcze bardziej. Dopiero co zapewniał, że nie podda się przycięganiu, które nawiedziło ich jak najgorsza plaga. Mocne, solidne motywy tkwiły u podstaw jego postanowienia, by pozostać wolnym od wszelkich bliższych związków. Otwarcie wyznał, że całe to gadanie o wojownikach i bratnich duszach jest nic niewarte. To były jego własne słowa.

Co więcej, mówił je z przekonaniem.

Skąd zatem ta nagła zmiana?

Jesteś niezwykłą kobietą, powiedział. Pomagasz chłopcom i mnie. Potem znów, z wielkim naciskiem, mówił o swojej wdzięczności. Jesteś niezwykłą kobietą. Te słowa powracały do niej jak echo. Pomagasz chłopcom i mnie.

Jej myśli niczym fragmenty puzzli tonęły w grzęzawisku, jakim stał się jej umysł. Tylko kilka z nich pasowało do

siebie, a obraz, jaki przedstawiały, był niewyraźny. Czuła jednak, że pełny obraz sprawi jej przykrą niespodziankę.

Trzęsły jej się ręce, zaciskała pięści, bała się, żeby nie rzucić się w jego objęcia. Jego język przeslizgiwał się wzdłuż jej warg. Jego ciepły zapach otulił ją jak koc. Wiedziała, że nie rozwikła gmatwaniny swoich myśli, dopóki nie odsunie się od niego, od jego ust i dłoni.

Położyła rękę na jego piersi, odepchnęła go. Nie wymagało to nawet wielkiej siły. Rozpacz, jaką ujrzała w jego oczach, była ostatnim brakującym fragmentem układanki.

Miała rację. Obraz w całości był nie tylko niemiły. Był nieskończenie przerażający.

- Nie rób mi tego, Travis. - Jej głos był szorstki jak papier ścierny, słowa kaleczyły gardło. - Jestem dla ciebie ciekawostką, a ciekawostki szybko się nudzą. Nie dam się w to wciągnąć.

- Ciekawostką? - Kręcił głową ze zdumieniem. Bardziej naiwna kobieta z łatwością dałaby się na to nabrać. - O czym ty mówisz? - spytał.

Wstała. On też się podniósł.

- Słuchaj - rzekła. - Cieszę się, że mogę pomóc chłopcom, i tobie przy okazji, skoro już tu jestem. Przekażę wam wszystko, co wiem o Kolheekach. Proszę tylko, żebyś nie igrał z moimi uczuciami. Nie wiem, co roi się w twojej głowie, ale nie pozwolę...

- Hola! - przerwał jej. - Chwileczkę. Widzę, że nic nie rozumiesz.

- Rozumiem doskonale - odparła. - Kilka dni temu mówiłeś, że nie wierzysz w związki. Że twój przyjaciel i jego żona... że Grega i Jane tak czy owak czeka rozwód i ból.

- Wskazała na niego oskarżycielskim gestem. - Powiedziała, że nie wierzysz w miłość.

Oddychała z trudem.

- Kiedy zaczęliśmy się spotykać wieczorami i wyjaśniałam ci, co to znaczy być Kolheekiem, ubzdurałaś sobie nagle, że musimy być razem. - Skierowała na siebie wskazujący palec. - Nie jestem głupia. Wiem, że dwa i dwa daje cztery. Potrzebujesz mnie, bo przydaję się przy chłopcach. Mam na nich dobry wpływ, pomagam im i tobie określić, kim jesteście. - Jej zwężone oczy raniłyby, gdyby mogły. - Jestem ci potrzebna tylko dlatego, że należę do Kolheeków.

- Diano, posłuchaj...

Kiedy próbował się zbliżyć, szybko odskoczyła. Nie zdziwiłby się bardziej, gdyby go spoliczkowała. Zamilkł.

- Eryk też uważał, że fajnie mnie mieć przy sobie. Bo byłam inna niż kobiety, które znał. Oryginalna. Nowość, która szybko się nudzi.

Jej oczy ciskały błyskawice. Właśnie złości teraz potrzebowała, i robiła wszystko, by ją w sobie utrzymać. Inaczej rozpląkałaby się. Umarłaby raczej niż ujawniła prawdziwe uczucia: piekący ból i łzy. Nie wiedziała, dlaczego tak boli, czuła tylko, jakby ktoś wrywał jej z piersi serce.

- Zrobię dla Jareda i Josha wszystko, co w mojej mocy, dopóki tu jestem. Także dla ciebie - powiedziała. - Ale błagam cię... nie baw się mną.

## ***ROZDZIAŁ ÓSMY***

- No bo my właśnie...

Jared mówił cicho i niepewnie, jakby nie był przekonany, czy wolno mu na głos wypowiedzieć myśli.

Rozmowa z Dianą bardzo przygnębiła Travisa. Ta kobieta zupełnie go nie rozumiała! Błędnie zinterpretowała motywy, które doprowadziły go do przekonania, że są sobie przeznaczeni. Sam był zaskoczony zmianą swojego nastawienia do związków i miłości. Przez wiele dni nie mógł sobie tego pouklądać, nic dziwnego zatem, że Diana nie uwierzyła w jego szczerość. W każdym razie nie powinna przynajmniej myśleć, że pragnie jej ze względu na jej pochodzenie. To absurdalne!

Rozpaczliwie chciał jej to wszystko jasno wytłumaczyć. Kiedy uciekła z kuchni, poszedł za nią, całą drogę nie zamykając ust. Zatrzymali go bliźniacy, którzy akurat schodzili na dół w piżamach. Ich drobne twarzyczki były skurczone, brwi zmarszczone.

- Nie możemy spać - oznajmił Jared, zerkając na brata, który przystanął stopień niżej. - Rozmawiamy.

W tej sytuacji Travis pozwolił Dianie umknąć, nie miał innej rady. Trzask drzwi jej sypialni kazał mu na kilka sekund zacisnąć powieki. Jeszcze z nią porozmawia. Znajdzie spo-i

sób, wyprostuje wszystko. W tej chwili jest potrzebny dzieciom.

Wziął chłopców na kanapę, zaczekał, aż wdrapią się na poduszki i ukląkł na wprost nich.

- No to - zaczął cicho, kładąc ręce na ich kolanach - o co chodzi?

- Miałem zły sen - przyznał Josh.

Travis zdziwił się, że to skryty Josh przemówił jako pierwszy. Zazwyczaj Jared zabierał głos w imieniu ich obu.

- Chcesz o tym pogadać? - spytał Travis. - O swoim złym śnie? - Widział, że chłopiec jest przestraszony, mówił więc łagodnie, by nie wzbudzać w nim dodatkowego lęku.

Josh wzruszył ramionami, wreszcie powiedział:

- Chyba. No tak.

Jared trącił go łokciem.

- Mów, powiedz mu.

Wielkie, ciemne oczy Josha zaokrągliły się jeszcze bardziej.

- Bo mi się wydawało, że się zbudziłem w domu. W tym domu, z innymi dziećmi. Tam...

- W sierocińcu? - podpowiedział Travis.

Josh pokiwał głową.

- Szukałem cię, ale cię nie było. Diany też nie było.

I wtedy...'

Krople łez, które nabrzmiwały w kącikach oczu chłopca, rozdierały Travisowi serce.

- Jareda też nie mogłem znaleźć. - Szybkim ruchem dłoni otarł łzy spływające po policzku. - Potem się obudziłem. To mi się śniło. Taki zły sen. Bałem się być sam i obudziłem Jareda.

- Nie chcę, żebyś jeszcze kiedykolwiek czuł się samotny, Josh - powiedział Travis. - Jeśli ten sen się powtórzy, zaraz przyjdź do mnie. Nawet w środku nocy przyjdź i obudź mnie. Jestem twoim ojcem i będę ci pomagać w takich trudnych chwilach.

- To potem, jak się obudziłem - Jared podjął opowieść - zaczęliśmy rozmawiać. I... powiedz nam coś, dobrze?

Travis przytaknął.

- Wszystko, co chcecie.

Chłopcy wymienili spojrzenia. Travis odniósł wrażenie, że w ten sposób dodają sobie odwagi. Potem patrzyli już tylko na niego, z wielkim oczekiwaniem. Jared wziął to na siebie.

- Dlaczego nas przyjąłeś? Czemu nas chcesz?

W pierwszym odruchu Travis chciał poprawić sposób wyrażania się chłopca, ale uświadomił sobie, że Jared ma prawo wypowiedzenia myśli w najlepszy możliwy dla siebie sposób. I zupełnie nieważne jest, jakich słów użyje, byle było to zrozumiałe.

Josh dodał z powagą po krótkiej chwili:

- Czemu nas chciałeś, jak nikt nas nie chciał?

Travis ani drgnął. Nie śmiał. Na twarzach chłopców malowała się przeogromna niepewność, która marszczyła ich czoła, a jemu zaciskała gardło. Nie wolno mu było w takim momencie okazać emocji. Dla chłopców musiał być teraz silny i wiarygodny. A jego odpowiedź musi być mądra, logiczna i dokładna. A także zrozumiała. Taka, która na zawsze rozwieje ich wątpliwości.

Miał przed sobą dwóch małych chłopców, niespełna sześciolatek, którzy mimo młodego wieku doświadczyli już

tyle fizycznego cierpienia i psychicznej udręki, że powinno im to starczyć na całe życie. Nie mógł dopuścić, by przeżyli jeszcze choćby nieznaczące klucie serca.

Z drugiej strony, wiedział, że to prawie niemożliwe. Chłopcy mieli przed sobą całe życie - życie, w którym najprawdopodobniej nie zabraknie prób i błędów, porażek i sukcesów. On nie powstrzyma ich przed smutkiem i upadkiem. Jedyne, co może im zagwarantować, to miłość. Miłość i obecność, gotowość do przyjścia z pomocą, jeśli zajdzie taka konieczność.

Myślał teraz, jakich słów użyć, by im to powiedzieć. Jak dać im do zrozumienia, że zawsze tam będzie, zawsze, i nigdy nie zawiedzie ich w potrzebie.

- Czemu was chciałem? - Jego głos zazgrzytał jak pocięte, zniekształcone kawałki metalu. Zamilkł, by spróbować przełknąć tę kluskę, która stała mu w gardle. - Istnieje coś takiego - zaczął znowu powoli - co nazywa się losem. To jest niewidoczne. Nie da się tego zobaczyć ani dotknąć, a więc pewnie trudno to pojąć. - Przenosił wzrok z jednej pary ciemnych oczu na drugą. - Ale - szukał właściwych słów - chciałbym, żebyście się postarali. Los, albo innymi słowy przeznaczenie, sprawia, że nasze życie wygląda tak a nie inaczej. I właśnie przeznaczenie nas trzech połączyło. Wy byliście sami i ja byłem sam. A przeznaczenie pomyślało sobie, że razem będzie nam lepiej. Że będziemy dla siebie dobrą rodziną.

Twarz Jareda rozjaśniła się, ale refleksyjny Josh wciąż miał w oczach mnóstwo znaków zapytania.

- Myślisz, że jesteśmy dobrą rodziną? - spytał.
- Oczywiście - szybko odparł Travis. Podniósł się i wśli-



znał na siedzenie między chłopców. - Jak uważasz, Jared?  
Czy twoim zdaniem jesteście dobrą rodziną?

Jared energicznie pokiwał głową.

- No pewno. Mnie się tu podoba, podoba mi się nasz nowy dom. I podwórko. Huśtawki na dworze i nasz pokój. Podoba mi się... wszystko.

- A nowy tato? - spytał Travis z zapartym tchem. - Co o mnie myślisz?

Jared spojrzał na niego nieśmiało.

- Nie lubię cię. - Wzruszył ramionami. - Kocham cię chyba.

Travis przytulił chłopca, nie mogąc powstrzymać odruchu miłości.

- Ja też chyba was kocham.

Jared był komunikatywny, nie miał problemów z adaptacją w nowym miejscu. Było jasne, że to Josha wciąż nękają rozterki.

- A ty, synku? - spytał Travis, zaglądając mu w oczy.  
- Jak ci się tutaj podoba?

Josh mrugnął raz i drugi, zanim odpowiedział:

- Najbardziej na świecie.

Biorąc pod uwagę, że chłopcy poznali w swoim życiu wyłącznie sierociniec i szpital, można by pomyśleć, że to wyznanie nie ma żadnego znaczenia. A jednak wszechogarniające emocje, jakie towarzyszyły temu zdaniu, nadawały mu wielki ciężar gatunkowy.

Travis miał uczucie, że nie wykrztusi już z siebie ani jednej sylaby. A tyle jeszcze zostało do powiedzenia.

- To dobrze, Josh - odparł naznaczonym wzruszeniem tonem. - Bo pragnąłbym, żebyście ze mną zostali. Widzisz...

- Kocham cię, synku. Ciebie i Jareda. Chcę, żebyśmy byli rodziną. Myślisz, że nam się uda?
- Chciałbym, ale...
- Ale co?
- Czemu mam złe sny?
- Nie przejmuj się tym, to normalne - uspokajał Travis.
- Dopiero przyzwyczajasz się do nowego domu. Jak już poczujesz się naprawdę u siebie, złe sny na pewno miną.
- Mówiłem ci - odezwał się Jared, nachylając się ku bratu. - Święty Mikołaj zawsze ma rację.
- Święty Mikołaj? - zdziwił się Travis.
- Tak - mówił dalej chłopiec. - Przecież nie zostawiłby tu dla nas wozów strażackich, jakby wiedział, że to nie jest nasz dom. Mówiłem rano Joshowi.

Travis z trudem pohamował uśmiech, jaki wywołała tak fantastycznie prosta odpowiedź i dziecięca wiara. Z powagą popatrzył na Josha i przytaknął:

- Twój brat ma rację. Święty Mikołaj nigdy się myli.
- Żeby na wszystkie życiowe problemy, pomyślał, dało się znaleźć takie proste rozwiązanie...

Diana siedziała na szczycie schodów, wstuchując się z od-dali, jak Travis uśmierza lęki bliźniaków.

Tak ją zdenerwowała dyskusja z Travisem, że przebiegła obok chłopców na górę, jakby wcale ich nie zauważyła. Gdy tylko jednak udało jej się nieco uspokoić, zmartwiła się, że swoim zachowaniem mogła sprawić im przykrość. Po cichutku wyszła na korytarz, by przekonać się, co u nich słychać.

Travisowi nie można było nic zarzucić. Znakomicie przekonał chłopców, że pod jego dachem są bezpieczni. Wystu-

chał ich z wielką uwagą, mówił do nich pewnym tonem, postugując się najbardziej przekonującym argumentem - że pragnie mieć ich przy sobie.

Miał do nich tyle cierpliwości. Doprawdy trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej idealnego ojca. No i, co najważniejsze, szczerze kochał te dzieci. Można było wierzyć, że gotów jest zrobić dla nich wszystko. Dla Diany nie ulegało to żadnej wątpliwości.

Była już z nimi parę tygodni. Cały ten czas Travis niezmiennie udawał, że dla dobra bliźniaków gotowy jest na wszystko, że nie odmówi im niczego, co uzna za słuszne i potrzebne. Zrozumiała nagle, że i ona należy do tych niezbędnych im „rzeczy”.

Podskoczyła, jakby ktoś przejechał jej po ramieniu ostrym zimnym narzędziem. Czyżby naprawdę uwodził ją wyłącznie ze względu na chłopców? Dlatego że jest Indianką?

Ale dlaczego miałby traktować ją tak podle? Pytanie przemknęło jej przez myśl i napełniło wątpliwościami.

Odpowiedź brzmiała wszakże: tak. Tak, w końcu jest jednym z nich, mężczyzną. Zawsze przychodzi moment, kiedy pokazują swoją prawdziwą twarz. Czasem trwa to miesiące, jak było z Erykiem. Czasami, jak w przypadku Trvisa, wystarczy tygodnie.

Ale co tam, miesiące czy tygodnie, najważniejsze, że zawsze wychodzi szydło z worka.

Bardzo nie chciała myśleć źle o Travisie, doszukiwać się w jego słowach i czynach kłamstw i manipulacji. A jednak wiedział przecież, że chłopcom niezbędna jest baza, na której będą mogli zbudować swoją tożsamość. Baza, która z kolei ma swe korzenie w przeszłości i tradycji. On sam nie mógł

im tego dać. Nienawidziła tego, ale nie mogła się pozbyć podejrzenia, że została po prostu wykorzystana.

Coś jeszcze sprawiało, że cierpiała, i to wyjątkowo dotkliwie. Coś, z czego w zasadzie dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, co podpowiadało jej własne serce - że po uszy zakochała się w mężczyźnie, który z premedytacją postuguje się nią dla swoich celów.

Travis przygotował chłopcom śniadanie i poszedł wziąć prysznic oraz ubrać się do pracy. Zamierzał wpaść do domu na lunch, tego dnia nie czekało na niego wielu pacjentów. Nie chciał jednak odkładać rozmowy z Dianą aż do popołudnia.

Zszedł na dół. Chłopcy oglądali jedną ze swoich ulubionych kreskówek. Spytał, czy nie widzieli Diany.

Z dwóch powodów piął się teraz mozolnie do jej sypialni. Pragnął, by bezzwłocznie zmieniła zdanie na jego temat, bo jeśli nie uda mu się wyjaśnić nieporozumienia tego ranka, nie będzie mógł skupić się na sprawach zawodowych. A to było nieprofesjonalne i niedopuszczalne. Musi wyprostować swoje pry wame życie, by odpowiedzialnie i całkowicie poświęcić się ufającym mu chorym.

Uniósł rękę i lekko zapukał. Nie było reakcji.

- Diano! - zawołał. - Musimy pogadać.

Czekał, ale odpowiedzią była tylko cisza.

- Wiesz przecież, że za chwilę przyjmuję pacjentów - odezwał się znów. - A ty i chłopcy też macie swoje plany. Ale nie wyjdę, póki mnie nie wysłuchasz.

Minęło dziesięć najdłuższych na świecie sekund, zanim usłyszał trzask zamka i drzwi się otworzyły. Serce go zabo-

łało na widok lęków i wątpliwości w jej oczach. Najchętniej przygarnąłby ją czule, ale na razie zrezygnował z tego. Przeszedł obok niej i usadowił się na szerokim, wygodnym, tapicerowanym krześle. Ona nie ruszyła się spod drzwi, rękę wciąż trzymała na klamce.

- Podejdz - poprosił łagodnie.

Zawahała się, spojrzała przez ramię na korytarz.

- A chłopcy... - Nie skończyła, a reszta zdania zawisła w nieruchomym powietrzu.

- Są zajęci - odparł. - Oglądają telewizję. - Poklepał dłonią kapę na łóżku. - Zbliż się i usiądź. Chcę ci coś powiedzieć... Muszę.

Celowo podkreślił ostatnie słowo. Tak, Diana musi poznać jego myśli. A on musi je z siebie wyrzucić.

Podeszła do łóżka i przycupnęła na brzegu materaca. Wiedział, że jedno niewłaściwe słowo, i ucieknie. Była bardzo zdenerwowana. Nie wysiedzi do końca, jeśli on zrobi choćby najmniejszy błąd.

Zignorował napięcie, które niemal kąsało. Przysiękł sobie, że je pokona. Pochylił się, wsparł łokcie na kolanach i wpatrywał się w nią. Dzieliły ich ledwie centymetry. Ale równie dobrze mogłaby znajdować się mile dalej, z taką determinacją starała się zachować obojętność, zamykając emocje w najdalszym zakątku serca.

Pragnął tam dotrzeć za wszelką cenę, jakby jego szczęście od tego tylko zależało.

- Naprawdę nie wiem, co takiego zrobiłem - zaczął - że tak źle o mnie myślisz. Chcę cię zapewnić, że się mylisz. Źle mnie rozumiałaś.

Jej oczy, przesłonięte chmurami, były nieprzeniknione.

- Nie wiem, co takiego zdarzyło się między tobą i twoim byłym mężem - ciągnął. - Ale czuję, na podstawie tego, co sama mi wyznałaś, że małżeństwo z osobą innego pochodzenia wydawało mu się świetną zabawą, oryginalną rozrywką czy niecodzienną atrakcją.

Diana słuchała nieruchoma jak skała.

- Jeśli to prawda... - Pozwolił słowom zawisnąć na moment w powietrzu i westchnął ciężko. - Jeśli tak, to bardzo smutne, dla niego. Bo to znaczy, że nie potrafił wyjść poza ten folklor i zobaczyć w tobie człowieka. Mądrzej i szlachetnej kobiety.

Drgnęła. Ledwo zauważalnie zwięzła oczy. Wystarczająco, by serce zaczęło mu łomotać.

- Ale najsmutniejsze w tym wszystkim - mówił - jest to, że ten głupi... że cię skrzywdził. - Rosnąca fala gniewu kazała mu zacisnąć wargi, po czym z pełną świadomością dał upust wściekłości, gwałtownie wydychając powietrze, i dodał: - Wydaje mi się, że on zachwiał twoim poczuciem wartości, pewności siebie, samoocena. A ty jesteś bezcenna.

Mrugnęła, ale jej spojrzenie wciąż było niepewne.

- Nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że pragnę cię, bo jesteś Indianką, ale ten argument nie wytrzyma próby, bo... - Jego głos zmiękł. - Kochanie... przecież ja też jestem Kolhekiem.

- Ale pojęcia nie masz, co to znaczy - wyrzuciła z siebie gniewnie, jakby energia dodawała znaczenia słowom. - Tylko ja mogę dać chłopcom...

Zmarszczył brwi, powstrzymując ją uniesieniem dłoni.

- Według ciebie to ma coś wspólnego z bliźniakami? - Wyprostował się. - To, co do ciebie czuję, co nawzajem do

siebie czujemy, nie ma z chłopcami absolutnie nic wspólnego. Bądź ze sobą szczerą i zgódź się ze mną.

Sztywna broda i cienka linia ust świadczyły o tym, że Diana upiera się przy swoim. Wiedział, że otwarcie, na głos, nie przyzna mu racji, ale czuł jednocześnie, że gdzieś w środku powolutku przełamuje swój upór. Zdradzały to jej oczy.

- Nie mam zamiaru - mówił - przysięgać ci kłamliwie, że twoje pochodzenie jest mi obojętne. Fakt, że należysz do plemienia Kolheeków, jest istotny.

Pobladła, jakby za chwilę miała całkowicie się od niego odciąć. Zanim jednak zdążyła wykonać najmniejszy ruch, dotknął rękawa jej bluzki.

- Nigdy nie spotkałem wspanialszej od ciebie kobiety. - Materiał jej bluzki zaszeleścił, kiedy przesunął dłonią do góry i z powrotem do nadgarstka. - Spotkanie z tobą, wszystko, co mówisz - zawahał się, ale jednak odważył się kontynuować myśl - wszystko, co mówisz o naszym narodzie, otworzyło dla mnie całkiem nowy świat. Dzięki tobie poczułem, jakbym... Sam nie wiem. Jakbym znalazł schronienie, azyl. Jakby istniała możliwość oczyszczenia się, obrony. - Poprawił się: - Nie tylko prawdziwa; lecz bliska i nieunikniona.

Przerwał, widząc jej zdumienie.

- Oczyszczenie? - Kręciła głową, a kosmyk jej czarnych miękkich włosów opadł na jego rękę.

Travis zwilżył wyschnięte nagle wargi.

- Chodzi o to...

Znowu nie dokończył. Nabrał powietrza. Stał przed trudnym zadaniem. Nikomu nie zdradzał, co robił przez wszystkie minione lata. Teraz poczuł olbrzymią potrzebę zwie-

rzeń. Chciał, by Diana wiedziała i rozumiała. Nie miał tylko pojęcia, jak jej to przekazać, nie obrażając jej uczuć.

Zacznij od początku, podpowiadał mu nieśmiało jakiś głos.

- Kiedy byłem młody, matka nigdy nie rozmawiała ze mną o swoim pochodzeniu. Swoim i moim równocześnie. Do dziś nie wiem dlaczego. Odmawia wszelkich rozmów na ten temat. Nie chce wspominać rodziny. - Uniósł obie ręce w znaczącym geście. - Ani ja, ani brat nie przejmowaliśmy się tym zbyt. Dorostaliśmy jako dumni Amerykanie, ni mniej ni więcej. - Ścisnął brodę palcami i odwrócił spojrzenie, aby uniknąć konfrontacji z jej rozczarowaniem, kiedy wreszcie odkryje swoje szaleństwo. - Kiedy byłem już w szkole średniej, mój wychowawca poradził mi, żebym wykorzystał pochodzenie jako dodatkowy atut w staraniach o miejsce w college'u. Atut, który miał otworzyć przede mną drzwi do różnych stypendiów. Za wszelką cenę chciałem iść do college'u. A potem na medycynę. No więc poszedłem za radą wychowawcy. - Przełknął ślinę, popatrzył na Dianę. - Czuję się teraz winny jak diabli.

Nie wiedziała jeszcze, co o tym myśleć.

- Ale...

- Przecież nie chciałem tym nikogo urazić - rzucił z zapalem. - Zacząłem zaraz czytać o... o naszym narodzie.

Czemu to określenie wciąż stawało mu w gardle? Czyżby nadal nie czuł się wart swojego bogatego dziedzictwa?

- Skontaktowałem się z rezerwatem Kolheeków. Zarejestrowałem się. Chciałem stać się częścią... częścią... - Potrząsnął głową. - Ale czułem, jakby oni... nie...

Jego zawiedzione nadzieje wzięły nad nim górę.



- Travis.

Jej łagodny głos niczym magnes przyciągnął jego spojrzenie do jej twarzy.

- Mówisz jakbyś - odezwała się - jakbyś właśnie nie należał do nas.

- Bo tak się czuję. Jak podglądający outsider.

- Przecież twoja matka była pełnej krwi Indianką - mówiła dalej - a więc i ty jesteś Kolheekiem. To nieważne, że ona z jakiegoś powodu nie przyznaje się do tego. Oboje należycie do plemienia, nawet jeśli ona nie ceni i nie pielęgnuje tradycji.

Poczuł, jak po jego ciele rozlewa się ciepło, które nazwał w duchu prawdziwym szczęściem.

- Powoli i ja do tego dochodziłem - tłumaczył. - Właśnie dzięki tobie. Zacząłem rozumieć, co to znaczy być Indianinem. Pozwoliłaś mi mieć nadzieję, że nie zostanę odrzucony.

Zniknęła gdzieś zasępiona kobieta, która siedziała przed nim jeszcze chwilę wcześniej. Jej miejsce zajęła spokojna szamanka, dobry doradca, nauczycielka, która miała na uwadze tylko jego dobro.

- Sądzisz, że Kolheekowie zabronią ci poznawać ich tradycję, bo nie wyrosłeś w rezerwacie? Że zabronimy ci wstępu? - Jej oczy stały się samą łagodnością. - Nigdy. Jesteś, kim jesteś. A jesteś Kolheekiem.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale - przerwała mu. - Travis, poza rezerwatem żyje dużo więcej Kolheeków niż w jego obrębie. Kolheekowie mieszkają w różnych stronach tego kraju, także za granicą. Nie możesz czuć się winny, że wykorzystałeś fakt

swojego pochodzenia w takim celu. Ani za swoją nieznamość historii narodu. Tyle teraz robisz, żeby to naprawić.

Jej przekonujące argumenty wzbudziły w nim nieodpartą wdzięczność.

- Zresztą - kontynuowała - mam pewien pomysł. Może dzięki temu bardziej poczujesz się jednym z nas. Chciałbyś wziąć udział w ceremonii nadania indiańskich imion?

Nie rozumiał.

- Jako ojciec, chyba i tak będę w tym uczestniczył?

- Oczywiście. Mówię o czym innym. Czy chciałbyś sam przybrać indiańskie imię?

Poczuł mrowienie na plecach.

- A czy to nie jest zarezerwowane dla dzieci?

Uniosła nieznacznie jedno ramię.

- Zazwyczaj. Ale ty, podobnie jak dziecko, jesteś na początku drogi i zaczynasz dopiero odkrywać swoją tożsamość, prawda?

Jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech, oczy zamglila nieoczekiwana wilgoć. Nadzwyczajna kobieta. Zdumiewająca. Tylko z nią chce spędzić resztę swoich dni, pomyślał.

- Ja... ja... - Zamilkł z nadzieją, że świeży zastrzyk powietrza pomoże mu się wystawić, pokonując węzły emocji splątane w płucach i gardle. - Byłbym zaszczycony.

- Świetnie.

Rozjaśniła cały pokój uśmiechem.

Nadszedł czas, by zakończył tę misję. By dotarł wreszcie do celu swoich zwierzeń.

- Twój pobyt w naszym domu, chęć pomocy chłopcom i mnie, budowanie dla nas fundamentów naszej tożsamości, wszystko to dało mi nadzieję, że mi się uda, że mogę z dumą

czuć się częścią tej kultury. Dlatego tak ważne jest, że należysz do tego plemienia. Dlatego mówię, że to też ma znaczenie.

Jej twarz pobladła w panice. Nie spodziewała się już, że rozmowa zejdzie znowu na sprawy intymne.

- Ale to nie to - zmusił się, by mówić dalej. - To nie twoje pochodzenie mnie w tobie pociąga. Fascynujesz mnie jako człowiek, jako kobieta, osoba troskliwa, kochająca, która sprawia, że serce wymyka mi się spod kontroli.

Zacisnął zęby, śmiertelnie przerażony, a mimo to zdecydowany dociągnąć jakoś do końca. Kiedy wreszcie przekonał się, ile znaczy dla niego ta kobieta, pragnął, by i ona nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- Pokochałem cię po prostu. - Jego głos brzmiał dziwnie ochryple. - I doszedłem do wniosku, że jesteśmy bratnimi duszami.

Zauważył, że natychmiast wyciągnęła tarczę obronną. Podniosła most zwodzony, zakazując do siebie dostępu. Znowu zapodziała się gdzieś indiańska szamanka, nauczycielka i mentor. Rozpłynęła się jak jedwab ochlapany kwasem.

Miał przed sobą przelęknioną kobietę, która desperacko zamierzała się bronić.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Pokochał ją. Boże, czy naprawdę to powiedział?

Tak, nie da się ukryć. Kolana się pod nią ugięły, gdy sobie to uświadomiła. W jej piersiach wybuchały fajerwerki radości, a równocześnie wpadła w nieopisany popłoch.

W głębi serca czuła, że źle oceniła motywy, jakie nim kierowały. Ale nawet to nie odsunęło całkowicie podszeptów wątpliwości. Podświadomość mówiła jej, że Travis jest człowiekiem uczciwym. Miał rację, twierdząc, że nie wolno jej porównywać go z Erykiem, ze względu na różne pochodzenie obu mężczyzn. Nie mógł również w żaden nieczny sposób wykorzystać faktu, że jest Indianką, skoro ich dwoje łączyła wspólna krew. Sam pomysł wydawał się śmieszny.

Dlaczego więc tak go oceniła? Czemu występowała z wyszukanymi z palca oskarżeniami? Z jakiego powodu z premedytacją zniekształciła jego motywy?

Odpowiedź była prosta. Znała ją doskonale. Było to jej koło ratunkowe, które miało ją uchronić przed upokorzeniem.

- Wybacz - wyszeptwała. - Przykro mi, że sprawiłam ci ból. Przepraszam, że zarzuciłam ci, że chcesz się mną egoistycznie posłużyć. Wiem, że to nieprawda.

W jej głowie wirowało. Nie chciała się przed nim całko-

wicie odkrywać. Nie życzyła sobie, by poznał - on czy ktokolwiek inny zresztą - całą prawdę o niej.

- Cieszę się, że zmieniłeś zdanie... - Słowa zatrzymały się na końcu jej języka, i bała się, że nie zdoła ich wypowiedzieć, ale w końcu przemogła się: - Że zmieniłeś zdanie na temat miłości.

Jego szeroko otwarte oczy błyszczały tak intensywnie, że musiała odwrócić wzrok.

- Miałam zresztą nadzieję, że któregoś dnia ujrzysz związek między kobietą a mężczyzną w innym świetle. Przekonasz się, że jest niezwykle ważnym elementem w życiu każdego człowieka.

- Już to wiem - powiedział.

Wciąż jednak nie mogła spojrzeć mu w oczy. Zawroty głowy nie ustawały.

Dlaczego? Dlaczego trafiło akurat na nią? Czemu Travis musiał pojawić się właśnie w jej życiu, a do tego wyznaczyć jej miłość, kiedy ona mogła jedynie go odrzucić? Ktoś sobie z niej okrutnie i nieludzko zażartował.

- Od początku wierzyłem - oznajmił teraz - że to przeznaczenie przywiodło do mnie bliźniaków.

- Tak, wiem.

- Nie wiem, jak mogłem być tak ślepy i nie widzieć od razu, że ciebie też podsunął mi los.

Cisza rozsadzała uszy. Zdawało się, że powietrze pulsuje. Uniósł głowę, by spotkać się z nim wzrokiem.

- Przeznaczenie dało ci też Tarę. Tak jak mnie Eryka.

- To była tylko próba - odparował bez namysłu. - Dla każdego z nas. Test i lekcja.

Diana wiedziała, że ma za sobą kiepski argument.

- Te związki są dobrymi przykładami na to - mówił - czym miłość absolutnie nie jest. - Zaśmiał się ciepło. - Chyba nie jesteśmy zbyt lotni, skoro nauka zajęła nam tyle czasu.

Chętnie śmiałyby się razem z nim, gdyby nie olbrzymi ciężar, jakim była dla niej decyzja, co robić dalej.

- Zresztą - przyznał - prawdopodobnie bez twojej pomocy niczego bym się nie nauczył.

Czy naprawdę musi być taki uprzejmy i szlachetny? Jak ma odtrącić tak nadzwyczajnego człowieka?

Nagle pomyślała, że to może być proste. Musi tylko myśleć nieustannie o ponizeniu, jakie spotkałoby ją, gdyby weszła w ten układ. Wyobrazić sobie rozczarowanie, jakie zobaczyłaby w jego oczach, gdyby zaparła się przeznaczenia - nie zgodziła z jego wymysłem, że są dla siebie wybrani.

Bratnie dusze!

To określenie szumiało jej w głowie jak ciepła bryza w jedwabistych włosach.

Już sam pomysł, że znalazła właśnie swojego wielkiego wojownika, kompletnie ją załamał. Jedyнным sposobem na ocalenie twarzy było właśnie życie bez Travisa. Pragnęła spędzić resztę swoich dni w spokoju, znajdując zadowolenie w tym, że Opatrzność całkiem jej nie opuściła.

- Diano...

Wymawiając jej imię, wyciągnął rękę i dotknął jej kolana z żądrością, która zatrzymała jej oddech. Udusi się, pomyślała, jeśli nie odejdzie jak najdalej od tej niebezpiecznej poufności.

- Nie, Travis. - Odepchnęła jego dłoń, wstała i podeszła do okna. - To niemożliwe. Nie mogę ci dać tego, czego ode mnie oczekujesz.

Odsunęła przejrzyste zasłony i wyjrzała na trawnik na tyłach domu, gdzie godzinami bawiła się z Jaredem i Joshem. Zachowa to na zawsze a pamięci. Te wspomnienia będą jej musiały wystarczyć do końca życia.

- Czemu tak mówisz? - zaniepokoił się.

Nie odrywała oczu od widoku podwórka i drzew za oknem.

- Pewnie chodzi o twoje małżeństwo - rzekł domyślnie.

- Moim zdaniem twoje zachowanie jest skutkiem bólu, jaki sprawił ci ten idiota, twój były mąż.

Wyczuła, że zmienił pozycję.

- Ale cokolwiek to jest - ciągnął błagalnym tonem - możemy nad tym wspólnie popracować.

Kręcąc głową, nie odwracając się, powiedziała:

- Nie. Tego się nie da zmienić.

Zanim się zorientowała, znalazł się tuż za nią. Jego dłonie na jej ramionach były jak płomień, które przez bluzkę parzyły jej skórę. Nic nie ciągnęło jej jednak do ucieczki, tęskniła za tym, by ulec, by strawił ją ogień.

- Jednego nie mogę zrozumieć. - Jego usta były tuż przy jej skroni, a jego głos wdzierał się wprost do jej ucha. - Jeżeli, jak powiedziałaś, on nie kochał cię szczerze, to w końcu on właśnie jest odpowiedzialny za rozstanie. A nie ty. Nie wiem, czemu wciąż się obwiniasz.

Westchnęła.

- To nie takie proste. To rzadko bywa proste.

- No to mi wytłumacz.

Czule, lecz stanowczo obrócił ją ku sobie. Tym razem ziemia paliła się jej pod stopami, jak zwykle wyskakiwało z niej serce i gniołło ją w żołądku.

- Pomóż mi to zrozumieć.

Jego błagalny wzrok po prostu ją rozszarpywał.

- Powinniśmy być razem - mówił. - Czuję to, i myślę, że ty też to czujesz. Od początku to wiemy. Powiedz mi, co takiego wydarzyło się w twoim życiu? Dlaczego...

Był wyraźnie załamany. Patrzyła na jego przystojną twarz, pełne ciepła oczy, i wiedziała, że musi mu powiedzieć. On zasługuje na to, by poznać prawdę. Tak bardzo dojrzał w ciągu kilku minionych tygodni. Byłoby nie w porządku mu odmawiać. Nieuczciwie. Była mu to winna.

Tkwiąc między Travisem a framugą okna, czuła się zbyt uwięziona, by swobodnie mówić na tak niewygodny dla niej temat. Wyśliznęła się i przesunęła w stronę toaletki, kilka kroków dalej.

- Nie mogę powiedzieć, że Eryk krzywdził mnie jakoś swoim zachowaniem - wyjaśniła. - Nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać, zanim jeszcze znudził się swoją oryginalną żoną. - Zamilkła na dłuższą chwilę, by wziąć głęboki, uspokajający oddech. - Rozwiedliśmy się wyłącznie przeze mnie. - Na jej ustach igrał smutny uśmiech. - Doceniam, że chciałbyś, abym myślała inaczej.

Nerwowo objęła się w talii i zaraz opuściła ręce.

- Mam... mam pewien problem. Nie lubię... - Zawstydzona, załapała się purpurą. - Nie znajduję normalnej przyjemności w...

Jej broda drżała, do oczu napłynęły palące łzy. Nie spodziewała się tego i nie życzyła sobie. Jeśli jednak nie wykrztusi z siebie do końca tych słów, Travis nigdy jej nie zrozumie. Spuściła wzrok na jego eleganckie półbuty i zaśmiała się histerycznym, tragicznym, chrypliwym śmiechem.



- Eryk powtarzał mi z satysfakcją, że jestem... oziębła. Mężczyźni nie działają na mnie tak jak na inne, normalne kobiety. - Powieki miała ciężkie jak worki z kamieniami. - Mam... zahamowania.

Był zszokowany. Wstrząśnięty. Jakby niepostrzeżenie wbiła mu ostrze w brzuch. W końcu wydusił:

- Diano, ja...

- Nie - przerwała ostro, obracając się, kiwając głową ze wstydu, zgarbiona. - Nie będę o tym rozmawiać. To dla mnie zbyt... upokarzające. Zrozum. - Brakowało jej powietrza, ale zdołała jakoś dokończyć. - Chciałam tylko, żebyś wiedział, o co chodzi. Zaslugujesz na to.

Drobny ruch na granicy jej wzroku kazał jej spojrzeć w lustro, przed którym stała. Travis wciąż znajdował się w polu jej widzenia.

Patrzył teraz w odległy kąt pokoju, jego twarz wyrażała niekłamanie zdumienie. Poblądł, miał zaciśnięte szczęki i zmarszczone głęboko brwi. Był tak oszołomiony, że ruszył w milczeniu jedyną możliwą dla niego w tej sytuacji drogą.

Kręcąc wciąż głową, wyszedł na korytarz. Dopiero wówczas Diana dała upust tak długo powstrzymanemu strumieniowi łez.

Usiadł przy biurku, patrząc niewidzącym wzrokiem na leżące przed nim karty pacjentów. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał przed chwilą od Diany. Nie pojmował, dlaczego ubzdurała sobie jakieś seksualne zahamowania. Przecież ją całował i obejmował, a ona aż kipiała z emocji. Dobrze to czuł. Pukanie do drzwi wyrwało go z przykrych myśli.

- Cześć! - To Sloan pakował się do środka.

Witając przyjaciela kiwnięciem głowy, Travis odezwał się:

- Wchodź. Co słychać?
- Chcę cię o coś zapytać. - Sloan wskazał przez ramię na przestrzeń za ich biurkiem. - Rachel i pielęgniarki... trochę się denerwują. Jakieś kłopoty w domu?

Travis najchętniej zwierzyłby się Sloanowi. Rozmowa z przyjacielem na temat problemu Diany mogłaby pomóc mu jakoś się z tym uporać. Z drugiej jednak strony czuł, że temat jest zbyt intymny na to, by ujawnić go przed Sloanem. Nawet jemu nie chciała przecież nic powiedzieć, a co dopiero, gdyby odkryła, że jej osobista sprawa stała się nagle publiczną tajemnicą.

- Nic takiego, z czym nie mógłbym sobie poradzić - rzekł z nadzieją, że jego głos brzmi pewnie.

Sloan pokiwał głową.

- Dobra. Ale gdybyś chciał pogadać...
- Dzięki, stary. - Podziękowanie to najlepszy sposób zmiany tematu, pomyślał Travis. - A jak dziewczynki? Nie widziałem ich od kilku dni.

- W porządku. - Szeroki uśmiech mówił wszystko o jego miłości do córek. - Wciąż spieramy się o sylwestrową prywatkę, na którą są zaproszone.

- Chyba pozwolisz im pójść?

Sloan wzruszył ramionami.

- Chyba tak, ale nie na całą noc. Co to za rodzice, którzy zapraszają dzieciaki na przyjęcie mające trwać do trzeciej nad ranem? To niepoważne.

- To wyjątkowa noc - zauważył Travis.

Sloan uniósł wysoko jedną brew.

- Przypomnę ci o tym, jak podrosną twoi chłopcy.

Travis zaśmiał się. Zaraz potem wspomnienie Diany i jej zaskakującego wyznania wsącżyło się w jego myśli i zacieśniło uśmiech.

Jego bystry przyjaciel znał go zbyt dobrze, by tego nie dostrzec.

- Na pewno nic się nie dzieje? - dopytywał się.
- Powiedz - zaczął Travis - co byś zrobił, gdyby ktoś...

no, gdyby ktoś niewłaściwie się oceniał?

- Mówimy o pacjencie? Czy którymś z chłopców?

Pocierając palcami brodę, Travis rzekł:

- Założmy, że o kimś ważnym.

Sloan skłonił głowę, nie wpytując dalej. Travis mógł liczyć na dyskrecję i szacunek przyjaciela.

- Potrzebuję więcej szczegółów - odparł Sloan. - Czego dotyczy jego ocena? - Szybko dodał: - Albo jej ocena.

- Ja... nie mogę tego powiedzieć.

Travis sięgnął po pióro i obracał je nerwowo w palcach.

- Powiedzmy, że jakaś mądra kobieta uważa się za głupią. Albo... albo sądzi, że jest brzydka, kiedy tak naprawdę jest nie tylko ładna, ale... olśniewająca.

Sloan zbliżył się do biurka i usiadł na wolnym krześle.

- Miałem okazję rozmawiać z Dianą. Bez dwóch zdań, to wykształcona kobieta, pewna siebie i....

- Kto mówi, że chodzi o Dianę? - Travis aż się skulił, słysząc swój defensywny ton.

Sloan zacisnął wargi i czekał. Ale Travis nie mógł zdradzić Diany. Hamując niewłaściwie skierowaną złość, Travis mruknął:

- Skoro nie chcesz mi pomóc...
- Oczywiście, że chcę - westchnął Sloan. - No dobra, gdybym znalazł się w takiej sytuacji, zrobiłbym wszystko, żeby przekonać... tę osobę, że... - zrobił pauzę, starannie dobierając słowa - że jest mądra i piękna. Niezależnie od tego, jak źle o sobie myśli.

Zdawało się, że na twarz Tralisa padł promyk światła.  
Świetny pomysł!

- Przekonać ją... - wymruczał.

Sloan przytaknął.

- Że nie jest taka, jak myśli.

Po kolacji przerzucił pożyczone mu przez Dianę książki i był przygotowany, by poprowadzić rozmowę w zamierzonym przez siebie kierunku.

Manipulowanie rozmową nie należało może do dobrych obyczajów, ale usprawiedliwiał je cel. Pragnął przecież pomóc Dianie zaakceptować fakt, że jest piękną, godną pożądaną, pełną namiętności kobietą. Zanim skończy się dzień, przekonają, że w sprawie seksu jest najnormalniejszą kobietą pod słońcem. No i wykaże, że są sobie przeznaczeni.

Zamknął cicho drzwi sypialni chłopców i zajrzał na chwilę do siebie po dwie książki, które właśnie czytał. Zszedł na dół, szukając swojej szamanki. Siedziała przed choinką, wpatrując się radośnie w kolorowe lampki.

- Niedługo trzeba będzie rozebrać drzewko - zauważył łagodnym tonem.

Gdy tylko się zjawił, zeszywniała z napięcia.

- Usycha powoli i zaraz zacznie opadać.

Ledwo kiwnęła głową.

- Czytałem te książki od ciebie. - Cofnął się nieznacznie, gdy zareagowała na jego zbliżające się kroki nagłym odsunięciem się. Chyba jednak spodziewał się zbyt wiele. - Pozwolisz, że zadam ci kilka pytań?

- Nie jestem dziś w formie.

Delikatnie chwycił ją za ramię, gdy próbowała się wycofać.

- Daj mi tylko pięć minut, proszę.

Przez jedną szaloną chwilę był pewny, że mu odmówi.

Potem jej spojrzenie zdradziło niczym lustro obejmujące ją fale niezdecydowania. Wreszcie, gdy zniknęły, powtarzał w myślach dziękczynną modlitwę.

Wyrwała się z jego uścisku i powiedziała:

- Dobrze, ale tylko chwilkę. Jestem... jestem strasznie zmęczona.

Był bardzo rozczarowany, gdy zajęła miejsce na krześle stojącym obok kanapy.

Krążąc wokół stolika do kawy, zaczął:

- Byłoby najlepiej, gdybyś usiadła przy mnie. Żebyśmy oboje widzieli książkę.

Jej twarz ponownie wyrażała wahanie. Była pewna, że nie ma ochoty siedzieć obok niego. Ale znów ustąpiła, a on triumfował, jakby wygrał pierwszą z przewidzianych na ten wieczór bitew.

Otworzył książkę na stronie, która oferowała dobry początek zaplanowanej rozmowy.

- Zdziwiło mnie - powiedział - że nie wszyscy Indianie mieszkają w szałasach.

Ilustracja przedstawiała wspaniały szałas w kształcie stożka, pokryty wygarbowaną skórą udekorowaną barwnymi symbolami: głową bizona i tęczą.

- To stereotyp, za który możemy podziękować filmowcom z Hollywood - wyjaśniła. - Chociaż akcja większości starych filmów z Johnem Waynem toczyła się na Dzikim Zachodzie.

Jej uśmiech ogrzał mu serce. Ulubione przez nią opowieści natychmiast wprowadzały ją w pogodny nastrój.

- Szałasy, w których żyli Indianie na środkowym zachodzie były tradycyjne, przenośne, tak by plemię mogło zmieniać miejsce w poszukiwaniu pożywienia albo uciekając przed wrogiem. Indianie z południowych nizin, Siuksowie i Czejenowie, budowali szałasy na planie trójkąta. Crow i Czarne Stopy, którzy mieszkali bardziej na północ, układali fundamenty w czworokąt. Skóry bizonów były garbowane i opalane, żeby nie przepuszczały wody, nie tracąc elastyczności. Potem je nakładano na szkielet konstrukcji i mocowano sworzniami wyrzeźbionymi z giętkiego drewna wierzbowego.

Pochyliła się nad książką, a długie pasmo jej połyskujących ciemnych włosów opadło na jego udo.

Wskazała na głowę bizona.

- To są symbole Czarnych Stóp - poinformowała go.

- Miały chronić rodzinę mieszkającą w danym szałasie przed chorobą i nieszczęściem.

Uniosła ku niemu wzrok, z jej oblicza zniknęło zakłopotanie, ciemne bezchmurne oczy lśniły zaangażowaniem.

- Domy Indian przybierały rozmaite kształty i rozmiary.

- Machinalnie założyła spadający kosmyk za ucho. - Trójkątne, czworokątne, stożkowate lub z zakrągloną kopułą. Różniły się też, zależnie od tego, nazwą. Kolheekowie, którzy należą do Algonkinów, mieszkali w wigwamach. Mają

one kształt kopulasty, a zbudowane są z młodych drzew wsadzonych do ziemi. Młode drzewko jest wystarczająco giętkie, by można było zgiąć je i związać z innymi u wierzchołka. Taki szkielet wzmacniany jest u góry i dokoła kolejnymi gałęziami, a potem nakrywa się to wszystko matami uplecionymi z sitowia.

- Na lato to może dobre. Ale w zimie chyba tam chłodnawo?

- W czasie najzimniejszych dni przykrywa się jeszcze zewnętrzne ściany korą. - Znowu nachyliła się nad książką, przewracając stronę. - Najchętniej brzożową, jeśli jest dostępna, bo jest lekka i można ją bez trudu zwinąć na czas podróży.

Znów otoczył go ten niepojęty, cytrusowy zapach jej skóry.

- Fascynujące - powiedział.

Gdyby go zapytano, czy jest to komentarz do jej słów, czy może do jej osoby, nie miałby kłopotu z odpowiedzią.

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się:

- Zgadzam się z tobą. -1 dodała zaraz: - Zdawało mi się, że jest w tej książce rysunek wigwamu, ale nie mogę go znaleźć. Pójdę na górę...

Wspierając się na zwinietej dłoni, zaczęła się podnosić. Zatrzymał ją delikatnie.

- Nic nie szkodzi - powiedział, lekko ściągając ją w dół, by go nie opuszczała. - Zobaczę przy okazji. Mam jeszcze inne pytania.

Skupił się na książce, poszukując konkretnej strony. Była tam przedstawiona para w ślubnych strojach.

- Omawialiśmy kiedyś kwestie rodzin i klanów - mówił.

- Na przykład, że zabronione są małżeństwa wewnątrz jednego klanu. No to jak... jak mężczyzna spotyka kobietę? A kiedy już jakąś wybrał, jak się o nią stara?

Diana poruszyła się nieznacznie.

- Wszystkie plemiona zbierają się dość często z okazji pow-wow i różnych sezonowych ceremonii. Młodzi na pewno wykorzystują ten czas, żeby się rozejrzeć wśród płci przeciwnej. Nawet starsi, wdowcy czy wdowy, robią to samo. Zawsze bardzo ważne było mieć kogoś, z kim spędza się życie. Zresztą jest tak i dzisiaj.

Nagle dotarło do niej, dokąd zmierza Travis. Jej spojrzeniu towarzyszyła niepewność i pytanie, poczuła się bezbronna. W Travisie zaraz obudził się instynkt opiekuńczy.

- Kiedy kobieta i mężczyzna poczują do siebie to samo...

- Zamilkła, przełknęła ślinę i kontynuowała wolniej: - Gdy oboje stwierdzą, że są sobą zainteresowani, spotykają się przed wigwamem kobiet. Rozciągają nad głowami koc, który daje im pewną prywatność, a równocześnie nie zasłania całkiem przed przyzwoitkami. Wyobrażam sobie... wyobrażam sobie, że nie w smak im, że są obserwowani.

- Na pewno.

Spotkali się wzrokiem i nie mogli od siebie oderwać. Oblizła wargi, widział, jak ciężko jej wytrzymać tę konfrontację. Mimo to nie odwracała się.

Ani on.

- Kolejny zwyczaj związany ze staraniem się o partnera...

Jej słodki jak melasa głos wibrował, to go okręzał, to znów przedostawał się do jego wnętrza.

- ...to granie na flecie miłosnych melodii. W środku no-



cy młodzieniec podchodzi pod wigwam wybranki i gra dla niej serenadę.

Jej pełne wargi wykrzywił grymas, który wydał się Travisowi najbardziej seksownym uśmiechem na świecie.

- Oczywiście - dodała - jeśli chłopak nie potrafi grać, może jej coś ofiarować. Na przykład upleciony przez siebie koszyk. Albo naszyjnik z pięknych kamyków.

- Aha. - Przyszła jego kolej na ironiczny uśmiech. - No tak, kobiety od zawsze biorą na biżuterię.

- Można tak powiedzieć.

Było mu duszno, jakby z otaczającego ich powietrza wypompowano wszystkie atomy tlenu. Zdawało mu się, że jeśli jej nie dotknie, nie wyciągnie ku niej ręki natychmiast, nie dożyje kolejnego wschodu słońca.

Jej smagły policzek był bardziej miękki niż najdelikatniejsza materia. Prawie niedostrzegalnym ruchem przesunął palec ku jej drobnym uszom. Nosila skromne kolczyki z peretką, która bezbłędnie ją symbolizowała. Diana była równie cennym i rzadkim zjawiskiem.

- Nie umiem pleść koszyków - wyszeptał - ani nizać koralu. Co u diabła mam zrobić, żeby pokazać ci, co do ciebie czuję?

Przypominała mu drobnego zastraszonego ptaka, tak bardzo pragnęła uciec i tak przerażała ją lot. Zaciśnięta usta, kiedy zaczął ją całować. Pocałunek palił jednak "bardziej niż płomień migoczące w kominku. Niewiele brakowało, by Travis stracił nad sobą kontrolę, by szurnął książką i zaczął całować ją namiętniej. Pragnął tego ponad wszystko, ale to rozbiłoby jego plan w drobny mak.

To Diana musi zrobić następny krok, jeśli plan ma się

powieść. Ona ma wyciągnąć do niego rękę, podnieść zwyczajny pocałunek na wyższe piętro.

Przez krótki, zatrważający moment bał się, że Diana nie chwyci przynęty, którą tak bezczelnie podstawił jej pod nos. Wtedy znów ją pocałował - miękko, delikatnie, niewinnie - i nagle jej skrywana namiętność przerwała wszystkie tamy.

Wplotła palce w jego włosy, drażniąc jego skórę paznokciami i przyciągając go do siebie. Rozchyliła usta i wysunęła lekko język, domagając się pieśczoł.

Jego puls wybijał znany od wieków rytm. Diana miała smak owocu zakazanego, gorący, rozkoszny i kuszący jak diabli. Mógłby się w niej zatracić, bez żadnego trudu. Musiał jednak pamiętać, że nie to miał na celu. Miał jej udowodnić, że jest kobietą namiętną.

Chwycił jej szczupłe nadgarstki i łagodnie odsunął od siebie jej dłonie, wyplątując je ze swych włosów. Zebrał wszystkie siły, by zignorować głębokie rozczarowanie, jakie ogarnęło: go, gdy wyzwolił się z jej uścisku. Oderwała od niego usta i odsunęła się, patrząc mu w oczy.

Były to oczy pełne pożądania. O mały włos, a zniszczyłyby jego dobre intencje. Niewiele brakowało, by odrzucił swój plan i zapomniał się w jej ramionach. Ostatecznie jednak przezwyciężył się. Najważniejsza była w tej chwili szczerą chęć, by pomóc Dianie.

Łapała z trudem powietrze, marszczyła brwi.

- Widzisz? - odezwał się. - Widzisz teraz, ile jest w tobie namiętności? I ty twierdzisz, że z twoją seksualnością jest coś nie tak?

Zamrugnęła, jakby w ten sposób przyzwyczajając się, że chwila namiętności minęła. W milczeniu poszukała jego twa-

rzy. Potem, kiedy jego pytanie już wybrzmiało, jej oczy zrobiły się okrągłe, najpierw ze zdziwienia, później z niewypowiedzianej złości.

- Jak śmiesz? - Szorowała wilgotne wargi wnętrzem dłoni. - Nie chce mi się wierzyć, że poważyłeś się na coś takiego.

Była wściekła, jej głos aż zgrzytał. Rozmiar tej złości kompletnie wytrącił Trávisa z równowagi.

Diana stała przed nim, a jej drobne dłonie zaciśnięte były w blade, pozbawione krwi piętki.

- Nie jestem królikiem doświadczalnym, na którym możesz sobie eksperymentować. Nie pozwolę traktować się jak...

- Poczekaj. Moment. - Wyciągnął otwartą dłoń. - Chciałem tylko pomóc, żebyś nie myślała o sobie... żebyś się przekonała...

- Przekonałam się właśnie, że jesteś okrutnym, pozbawionym serca facetem. Nie zostanę w tym domu ani chwili dłużej niż to konieczne! - rzuciła i jak błyskawica przemknęła przez pokój.

- Chciałem ci udowodnić... - wyjąkał, odkładając książkę i wstając, ale widząc, jak Diana znika mu z oczu, zawiesił z rezygnacją głos.

Przecież pragnął tylko, by pozbyła się fałszywej samooceny. I zrozumiała wreszcie, że on ją kocha.

Tymczasem jego plan nie wypalił. A może nawet zadziałał jak strzał samobójczy.

- Diano!

Zatrzymała się na ostatnim stopniu i spojrzała na niego z lodowatą złością.

- Co z chłopcami? - spytał. - Co z ich świętem?

- Nie zawiodę ich. Tak jak obiecałam, poprowadzę ceremonię nadania imion. - Jej szczupła postać emanowała furią.
- Proponuję, żebyś nie urządzał wielkiego przyjęcia. Jeśli zaprosisz tylko najbliższych przyjaciół i rodzinę, będziemy z chłopcami gotowi za trzy dni.
- Ale to wypadnie w Nowy Rok - zauważył.
- Świetnie się składa - odparła. - Nowe imiona w Nowy Rok. Wyjadę zaraz po zakończeniu ceremonii. Jeśli ktoś chce wiedzieć dokładniej, odpowiedź brzmi: natychmiast.

RS

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

- Uważasz, że operacja pomoże Jane? - Travis nie wierzył własnym uszom.

Miesiąc wcześniej Greg zdradził, że jego wspaniata żona wahała się, czy go poślubić, ponieważ nie może dać mu dzieci. Zgodziła się dopiero po wielokrotnych zapewnieniach z jego strony, że jest całkowicie usatysfakcjonowany jako ojciec Joy. Teraz twierdził, że bezpłodność Jane może okazać się uleczalna.

Greg wrócił tego ranka do pracy po krótkiej podróży poślubnej na wyspy Bahama. Był opalony i uśmiechał się szeroko, jak zadowolony z życia człowiek. Travis zazdrościł mu. Nigdy nie przypuszczał, że sam zechce się ożenić. Od pewnego czasu nie wyobrażał sobie wszakże przyszłości bez Diany. I pomyśleć, że jeszcze podczas weselnego przyjęcia szydził z matrymonialnego pomysłu przyjaciół, a teraz wspólnie spędzane przez nich chwile napawały go czystą zazdrością.

- Tak przypuszczam - odezwał się Greg zza stołu konferencyjnego i pociągnął łyk porannej kawy. - Będziemy wiedzieć więcej po wizycie u ginekologa. Jane ma bardzo regularny cykl, tak przynajmniej twierdzi. Lekarz z poradni, do którego chodziła, nigdy nie zdiagnozował jej jednoznacznie. Powiedział tylko, że może mieć z tym problem.

- Co to za lekarz, który utrzymuje, że kobieta jest bezpłodna, nie mając żadnych badań?

Greg tylko wzruszył ramionami.

- Pamiętaj, że to poradnia dla mniej zamożnych pacjentów. Jane nie miała ubezpieczenia, kiedy pracowała jako kelnerka w niepełnym wymiarze godzin. Ani pieniędzy nawet na najtańsze badania. Może ten lekarz zrobił wszystko, co możliwe w takiej sytuacji?

- Albo jest zwykłym szarlatanem.

- Może - zgodził się Greg.

Travis przez moment starał się poukładać informacje, po czym rzekł:

- Założę się, że Jane jest tym przejętą.

Greg, ku zaskoczeniu Tralisa, rozpromienił się.

- Szaleje z radości, chociaż stara się to ukrywać. Ja też. Boimy się rozczarowania, więc nie wybiegamy za bardzo myślą w przyszłość.

Przez chwilę trwali w milczeniu, popijając kawę i jedząc ciepłe bułeczki, które Rachel przyniosła im tego ranka. Czekali na Sloana, który miał się zjawić na konsultacje.

- A co się tu działo przez ten tydzień? - spytał Greg.

- Sloan przyprowadził do biura dziewczynki - powiedział Travis. - Wciąż męczą go o to przyjęcie.

- Puści je?

Travis skinął głową.

- Mówi, że nie. Ale jeśli się nie zgodzi, do akcji wkroczy Rachel. Ona przepada za tymi małymi.

Stawiając kubek z kawą na stole, Greg spojrzał z powagą na przyjaciela.

- Myślisz, że Sloan domyśla się, co Rachel czuje...?

- Nie ma pojęcia - rzekł Travis, zanim Greg mógł dokończyć zdanie.

Znów zapadła cisza. W końcu odezwał się Travis.

- Jeśli nie macie planów na Nowy Rok, może przyszlibyście na indiański chrzest chłopców?

Greg zaskoczony uniósł brwi.

- Zdawało mi się, że to ma być kiedyś później. Blżej ich urodzin.

Travis zawahał się.

- To prawda, ale... Diana wraca do domu... wcześniej niż planowała. - Sama myśl, że Diana opuści Filadelfię i jego na zawsze, sprawiała, że czuł w środku wielką pustkę.

Greg, pochylając lekko głowę, spytał:

- A co nabroiłeś?

- To przez Sloana.

- Co znów zrobiłem? - Sloan wszedł i położył teczkę obok jednego z pustych krzesel.

- To ty... - w głosie Trávisa brzmiało oskarżenie, którego chciał uniknąć - wpadłeś na ten wspaniały pomysł, żeby ją przekonać, że jest namiętą kobietą.

- O przepraszam. Przecież mówiłeś... - Sloan wskazał na Trávisa palcem - że chodzi o jej urodę i inteligencję.

- A jak miałem ci powiedzieć prawdę?

- Czemu nie? - spytał niewinnie Greg. - I tak się w końcu wygadałeś.

Travis zacisnął zęby.

- Tak czy owak, to Sloan radził mi przekonać ją, że jest inna niż myśli.

- Ale... ale... - jękał się Sloan..

- O rany! - zamruczał Greg. - Ledwo wyjechałem

i wszystko się tu do góry nogami wywróciło. - Uśmiechnął się do przyjaciół. - I co, Travis, dała się przekonać?

- Próbowałem. Nie dość, że się obraziła, to chce wyjechać - mówił Travis z widocznym żalem, - A ja nie chcę, żeby wyjeżdżała.

Mężczyźni przeszli go przenikliwymi, zaciekawionymi spojrzzeniami.

- Coś mi się zdaje, że naszego nieczułego Travisa ukuło żądło miłości - skomentował Greg z jawnym ostupieniem.

- A jeśli tak - dorzucił Sloan - to znalazł się w prawdziwych tarapatach. Bo nie ma na to żadnego lekarstwa.

- Kto powiedział, że chcę się wyleczyć? - Travis pocierał bezmyślnie brodę. - Chcę przekonać Dianę, żeby została. Ale chyba już za późno. Zaraz po Nowym Roku...

- A co ma być w Nowy Rok? - spytał Sloan.

- Indiański chrzest bliźniaków - wyjaśnił Travis. - Zapraszam cię z dziewczynkami, jeśli możesz.

- Jasne.

- Wszyscy przyjdziemy - zapewnił prędko Greg.

- Dziękuję. - Travis był wdzięczny z całego serca, jego przyjaciele byli niezawodni

- Czekaj - odezwał się Sloan. - A co mamy przynieść chłopakom? Jakiś prezent czy może pieniądze?

Travis potrząsnął głową.

- Absolutnie nic. Według zwyczaju to my obdarowujemy gości, za to, że zechcieli być z nami tego dnia. Dlatego Diana potrzebuje jeszcze trzech dni na przygotowania. Razem z chłopcami szykują prezenty.

- O rany - westchnął Greg. - Świetna tradycja. Dzieciaki dzisiaj tylko wyciągają po wszystko ręce przy byle okazji.



A tu proszę, jaki fantastyczny sposób, żeby nauczyły się, że dużo przyjemniej jest dawać.

- Też tak myślę. Diana przekazała nam naprawdę mnóstwo cennych informacji. Wspaniale jest być Kolheekiem. Indianie to bardzo honorowi ludzie. I lojalni. Mają ogromny respekt dla wiedzy i doświadczenia starszych.

- No, to by się przydało wszystkim dzieciom - zauważył Sloan. - Respekt dla starszych.

Greg zaśmiał się.

- Hej, chłopie, twoje dziewczynki to już prawie nastolatki, a wiadomo, że w tym wieku nikogo się specjalnie nie szanuje.

- Szanowałyby - sprzeciwił się spokojnie Travis - gdyby tego od nich wymagano. Dzieci robią tylko to, czego się od nich oczekuje. Jeśli wymagamy niewiele, tyle właśnie nam dają.

- Nauczyłeś się tego przez miesiąc, tatusiu? - zapytał Sloan ironicznie.

- To był długi i pracowity miesiąc.

Roześmiali się zgodnie. Travis musiał jednak przyznać:

- To wszystko Diana. Ona pokazała mi rzeczy, których sam uczyłbym się przez całe życie.

- O Boże! - mruknął Sloan do Grega. - Teraz widać, że to bardzo poważny stan. On Dianie przypisuje wszystkie zasługi.

Travis sięgnął po karty chorych, które mieli omówić tego ranka. Nie chciał, by to spotkanie zmieniło się w festiwal żartów, których był głównym celem.

- Co do samej ceremonii - powiedział jeszcze - ubierzcie się ciepło. Diana powiedziała, że odbędzie się na dworze. - Odchrząknął. - No, to może teraz zajmujemy się pracą.

Greg chwycił Tralisa za rękę. Nie miał ochoty na zmianę tematu.

- Słuchaj, jeśli kochasz Dianę, nie wahaj się. Jakoś ci się uda do niej dotrzeć. Czuję to nosem.

Travis był mu wdzięczny za wsparcie. Sam chciałby mieć choć odrobinę tej wiary, jaką uosabiał Greg.

W Nowy Rok na błękitnym niebie nie widać było ani jednej chmurki. Powietrze było suche i rześkie. Całkiem jak atmosfera między Travisem a Dianą od czasu owego nieszczęsnego pocałunku mającego stanowić dowód jej namiętności.

W obecności chłopców Diana była dla niego bardzo miła. Gdy tylko zostawali sami, trzymała się na dystans. Kilka razy próbował z nią rozmawiać, ale stanowczo odmawiała.

Całymi wieczorami nawlekała z chłopcami szklane koraliki i szyła skórzane sakiewki, które ozdabiali później muszelkami i piórami kupionymi w lokalnej pasmanterii. Nie mówiła wiele, gdy pytał, co robią w czasie jego nieobecności.

- Przygotowujemy się - tyle tylko zdradzała.

Tego ranka zwróciła się do niego z dość niezwykłą prośbą. Weszła do domu i zapytała, czy może rozebrać choinkę. Kiedy pomógł jej zdjąć ozdoby, Diana i bliźniacy wyciągnęli drzewko na podwórko. Nie miał pojęcia, do czego potrzebna im podwiędła sosna. Chłopcy też nie ujawnili sekretu, który rozświetlał tylko ich oczy.

- Zobaczysz - powiedzieli. I zaraz po posiłku znowu pośpiesznie wybiegli.

Słońce zbliżało się już do horyzontu, wkrótce mieli przy-

być goście. Tymczasem Diana, Jared i Josh zniknęli z pola widzenia.

Travis miał za zadanie przygotowanie poczęstunku. Diana radziła, by zrobić coś prostego, na przykład zupę i kanapki. Albo jakieś danie, które można szybko podgrzać i podać zaraz po zakończeniu uroczystości. W końcu ważni są chłopcy, a nie jedzenie. Travis zdecydował się na chilli, które gotowało się właśnie na wolnym ogniu. Kupił butelczki w piekarni, a chrupiąca sałata czekała w lodówce, gotowa do podania.

Dostrzegł Dianę i chłopców przez okno, jak z trudem marszerowali od strony lasu, taszcząc szpadel, siekierę i inne narzędzia, które trzymał w szopie. Jego szamanka wyglądała jak królowa, kiedy przyklękała, by powiedzieć coś dzieciom. Jej nagły wyjazd zostawi pustkę w jego sercu, przeogromną pustkę.

Pomyślał, że może uda mu się porozmawiać z nią jednak przed uroczystością. Może jeszcze zdołają namówić... Ale Diana nie weszła do domu, wysłała do niego bliźniaków, a sama zawróciła ścieżką, którą wydeptali w śniegu.

Josh i Jared weszli tylnym wejściem, przytupując, by oczyścić buty.

- Cześć, tato! - przywitał się Jared. Mróz zaróżowił mu policzki. Chłopiec był ogromnie przejęty. - Jeszcze trochę.

Serce Travaisa zadrzało. Nie przyzwyczał się jeszcze, że ktoś nazywa go tatą. Chłopcy posługiwali się tym słowem coraz częściej.

- Zaczekajcie! - zawołał, kiedy go mijali. - Dokąd to znowu?

- Umyć się - wyjaśnił Jared.

- I ubrać - cicho dodał Josh.
- Dobrze. - Chłopcy byli przejęci, nie chciał ich zatrzymać. - Zawołajcie, gdybyście potrzebowali pomocy.
- Dobrze - odpowiedzieli razem, wdrapując się na górę przy pomocy odzianych w same skarpetki stóp, kolan i łokci.

Travis zamieszał chilli ostatni raz przed wyłączeniem gazu. Podgrzeje je potem w ciągu paru minut. Przeniósł się do jadalni i powtórnie sprawdził nakryty stół. Wszystko było na miejscu: talerze, sztucce, szklanki, serwetki.

Chwilę później odezwał się dzwonek u drzwi, zapowiadający gości. Travis cieszył się ogromnie, widząc, że wszyscy zjawili się równocześnie. Byli Jane z Gregiem i małą Joy oraz Sloan z Sydney, Sophie i Sashą. Nie zdążyli jeszcze wejść do środka, gdy na podjeździe zaparkował samochód Rachel.

Nastąpiły uściski i powitania, a potem Travis wprowadził gości do salonu. Nie mogli się zdecydować, czy zdjąć płaszcze, kiedy do pokoju weszli bliźniacy. Na ich widok wszyscy zamilkli.

- Jesteśmy gotowi - ogłosił z dumą Jared.
  - A.. .ale - Travis szukał właściwego słowa - myślałem, że wystroicie się w najlepsze ubrania.
- Josh wystąpił nieśmiało naprzód.
- Diana kazała nam ubrać się w nasze ulubione rzeczy.
- Wsunął rękę pod marynarkę i pogłaskał miękką tkaninę.
- Nigdy nie miałem takich piżam, Jared też nie. Włożyliśmy bluzki od piżamy zamiast koszuli.

Jared zdjął baseballową czapkę i wyciągnął ku ojcu.

- Dajeś mi to w szpitalu, pamiętasz?

Unosząc swoją czapkę, Josh dodał:

- Mi też.
- Bardzo je lubimy.

Travis przymknął powieki, hamując łzy, które psuły mu widzenie. Miał wspaniałych synów, a jeśli oni włożyli swoje najbardziej ukochane ubrania, nie miał nic do powiedzenia.

- Wyglądacie bombowo - stwierdziła Jane.
- Całkiem elegancko - wtrąciła Rachel.

Jared podbiegł do okna.

- Już czas. Diana powiedziała, że zaczniemy, jak zobaczymy dym.

Travis i chłopcy wbili się w ciepłe kurtki i razem z gośćmi ruszyli do wyjścia i przez podwórko. Drzewa zgubiły liście wiele tygodni temu, tylko wyniosłe sosny tworzyły plamę żywej zieleni na de szaroburego krajobrazu początku zimy. W zachodzącym słońcu, które oświetlało im drogę, zmierzch był koloru łososiowego.

- Spójrzcie! - zawołała Sophie, jedna z córek Sloana. - Jaki świetny mały fort.

- To na pewno chata - poprawiła siostrę Sasha.  
- Ale z was idiotki. Każdy widzi, że to igloo, tyle że z drewna.

- Nie jestem głupia! - Sophie była zdegustowana. - Igloo jest z lodu. Każdy głupi to wie.

Jared, idący na czele grupy, odwrócił się.

- To wigwam. Zbudowaliśmy go razem z Dianą.
- Superowy, nie? - Josh zaczął Travisa.

Travis był tak zaskoczony, że nie mógł nawet kiwnąć głową. A więc tym zajmowali się bliźniacy i Diana, kiedy był w pracy. Z uśmiechem dostrzegł gałązki ich bożonarodzeniowej choinki, które izolowały zewnętrzne ściany.

Najwyraźniej Diana nie chciała niszczyć znajdujących się na jego posesji drzew. Wigwam wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażał sobie na podstawie jej opowieści. I pomyśleć, że jego przodkowie mieszkali w takich domach. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Chłopcy spojrzeli po sobie i wpatrując się w wejście do wigwamu, zawołali:

- Hej!

Jared zerknął na Trvisa i wyszeptał:

- To znaczy cześć.

- O'ho! - odezwała się Diana. - Witajcie.

Travis podążył za chłopcami do środka, pochylając głowę, by zmieścić się w niskim wejściu. Wewnątrz wigwamu było niemal gorąco dzięki niewielkiemu ognisku rozpalonemu w dołku wykopanym na środku podłogi. Smużki dymu unosiły się i wymykały przez otwór w suficie.

- Wejdźcie.

Miękki głos Diany przyciągnął ku niej jego spojrzenie. Przystanął. Jej uroczysty strój, przeznaczona na tę okazję suknia uszyta była z delikatnej białej skóry jelenia. Przód ozdobiony miała haftem z koralików. Frędzle kołysały się za każdym ruchem jej rąk. Rozpuszczone czarne włosy Diany lśniły w blasku ognia. Wyglądała pięknie, aż zapierało dech. Bez namysłu przeniósłby się teraz o tysiąc lat wstecz.

Diana podeszła do gości. Ścieśnili się. Sloan wszedł ostatni i spuścił za sobą koc przymocowany nad wejściem, by zatrzymać ciepło.

- Usiądźcie, proszę - zwróciła się do nich Diana, a oni usadowili się na matach i kołdrach rozłożonych na gołej ziemi.-

Trwali w niespokojnym oczekiwaniu czegoś niezwykle-  
go. Travis czuł nerwowe ruchy w żołądku. Nikt nie wiedział,  
czego się spodziewać.

Łagodny głos Diany wypełnił przestrzeń. Travis patrzył,  
jak unosi ręce, otwarte dłonie, w modlitwie. Ciekaw był, co  
inni sądzą o jego szamance, tak go jednak zaczarowała, że  
nie mógł oderwać od niej wzroku.

Słowa w języku Algonkinów wyływały z niej jak czyste  
złoto i dawały im wszystkim poczucie, że moment, którego  
są świadkami, jest święty. Potem Diana witała ich po kolei  
spojrzeniem i wdzięcznym uśmiechem.

- Dziś wieczór - odezwała się - łaskawie przybyłście,  
by uczestniczyć w nadaniu Joshowi, Jaredowi i Travisowi  
indiańskich imion. Pozwólcie jednak, że najpierw chłopcy  
wręczą prezenty paniom. - Dała im znak kiwnięciem głowy.

- Dawno temu - zaczęła nieśmiało Jared - młode Indianki  
ozdabiały włosy koralikami z muszelek. Potem miały już  
szklane koraliki. Koraliki służyły też jako pieniądze i nazy-  
wały się wtedy... - Spojrzał w panice na Dianę, która ciepło  
się do niego uśmiechnęła.

- Wampum - podpowiedział Josh i wręczył Sydney  
sznurek barwnych koralików. - To dla ozdoby - wyjaśnił.

Sydney promieniowała radością.

- To do włosów - powiedział jej siostrze, kiedy Jared  
dawał im podarunki.

Dziewczynki dziękowały, wpinając do włosów nowe kla-  
merki.

- W dawnych czasach małe dziewczynki bawiły się lal-  
kami - oznajmił Jared Jane, trzymającej na rękach Joy. - Tak  
samo jak dzisiaj. No więc zrobiliśmy dla Joy lalkę. Jest

z filcu, chociaż są też lalki z drewna. Ale my nie umiemy rzeźbić w drewnie.

- Jest piękna - oświadczyła Jane. - Maleństwo na pewno ją pokocha.

Joy od razu przytuliła lalkę, która miała włosy z włókien przędzy.

- Dla Jane i Rachel uszyliśmy sakiewki - ciągnął Josh. Kobiety przestały mu taki uśmiech, aż się zaczerwienił.

- Są lepsze od tych, które można kupić w sklepie - dodał Jared. - Można je sobie zawiązać w pasie i nie trzeba ich pilnować. - Mówił jak urzeczony, jakby właśnie odkrył nowy ład.

Jane i Rachel przyjęły prezenty z odpowiednimi oczami i achami. Wreszcie chłopcy wrócili na swoje miejsca, a głos zabrała Diana,

- Ja przygotowałam podarunki dla Sloana i Grega, ale pamiętajcie, proszę, że wręczam je na cześć chłopców i Trvisa.

Odwróciła się, a kiedy znów zobaczyli jej twarz, Travis dostrzegł, że trzyma dwa kawałki materiału.

- Pasy wampum miały dla Kolheeków ogromne znaczenie - tłumaczyła. - Stanowiły świadectwo historii. Niektóre były zapisem prawa. Pasy, które dla was zrobiłam, dotyczą waszej osobistej historii i wraz z nią mogą się zmieniać.

Greg wstrzymał oddech, odbierając pas.

- Jest fantastyczny. Dziękuję, bardzo dziękuję. - Wskazał Jane wyhaftowane koralikami postacie. - Patrz, to my, a tu Joy.

- A ja jestem tutaj - pochwalił się Sloan, oglądając swój



dar. - Z dziewczynkami, całą trójką. Kropka w kropkę takie same jak w rzeczywistości.

- Super - oceniła jedna z dziewcząt.
- Diano - zainteresował się Greg - co to za znak?
- Symbolizuje uzdrowiciela - odparła. - A ten wzór na

dole to wstążki dymu. Kolheekowie zwani są też Ludźmi Dymu.

Rozsiedli się, a emocje iskrzące w powietrzu zdawały się rosnać z każdą chwilą.

- Jako szamanka - zaczęła znów Diana - mam obowiązek poznać chłopców wystarczająco dobrze, by móc wybrać dla nich imiona, które najlepiej do nich pasują. Zazwyczaj pomaga mi w tym rozmowa z rodzicami dzieci. Tym razem nie miałam takiej możliwości, bo Travis poznawał chłopców równocześnie ze mną. Starłam się zatem spędzać z nimi jak najwięcej czasu. Rozmawialiśmy dużo o różnych sprawach. Mam nadzieję, że coś wynieśli z tych rozmów, bo ja wiele się od nich nauczyłam.

Wyciągnęła rękę do Jareda, który stanął przed nią.

- Nadaję ci imię GansXewulon kwan - oznajmiła. - Łoskoczące Skrzydło. Bo jesteś szybki, szybko myślisz i łatwo porozumiewasz się z innymi. Widziałam, jak skaczesz i bawisz się. Polecisz wysoko i osiągniesz w życiu wiele sukcesów.

Następnie przyszła kolej na Josha, który ustawił się na wprost indiańskiej szamanki.

- Josh - rzekła. - Nadaję ci imię Kulamapuw Ox cho. Cicha Góra. Brat Góra jest nadzwyczaj lojalny i przez całe swe życie jest dla innych ucieczką i schronieniem. Jest honorowy i kocha tych, którzy dzielą z nim dom. Długie lata,

jakie ma za sobą, wyposażyły go w mądrość, która nie ma sobie równej. I ty osiągniesz w życiu wiele sukcesów.

Wzruszenie zacisnęło gardło Trávisa. Nigdy nie będzie w stanie zrewanżować się Dianie za dumę, jakiej nauczyła Josha i Jareda, za pamięć przeszłości, jaką w nich zaszczepiła.

Diana poprosiła bliźniaków, by stanęli twarzą do ognia. Wszystkie oczy skierowały się na nich, kiedy mówiła:

- Oto chłopcy, którzy potrzebują przez wiele jeszcze lat miłości i przewodnika, jeśli mają wyrosnąć na zdolnych, silnych i samodzielnych mężczyzn. Proszę cię, byś obdarzył ich troską i miłością, które dadzą im poczucie bezpieczeństwa. Prowadź ich mądrze, by stali się uczciwymi i odpowiedzialnymi młodymi ludźmi.

Powietrze wypełniły emfatyczne szepty i ruchy. Kiedy Diana skończyła, w wigwamie znów zapanowała pełna oczekiwania cisza. Diana zamknęła oczy i głośno westchnęła. Potem powstała, stanęła za plecami Trávisa i położyła ciepłe dłonie na jego ramionach.

- Dla Trávisa wybrałam imię Xing wee E lah. Wielki Wojownik.

Travis wzdrygnął się. Wiedział, że Diana poczuła jego reakcję. Nie był jednak w stanie dostrzec jej twarzy. Czy nadałaby mu takie imię, gdyby nie zmieniła co do niego zdania? Gdyby nie uświadomiła sobie ostatecznie, że są sobie przeznaczeni?

- Tylko największy wojownik - kontynuowała spokojnie - przychodzi z pomocą dwóm małym chorym chłopcom. Tylko największy wojownik poświęciłby tyle co Travis dla Jareda i Josha, uratował ich, kiedy groziło im niebezpieczeń-

stwo, zaopiekował się nimi, kochał ich i troszczył się o nich. O tych, którzy nie mają nikogo prócz niego.

Z każdym jej słowem z Trávisa uchodziło powietrze. Sądził najpierw, że nadane przez nią imię ma związek z jej uczuciami do niego, z tym, co do siebie czuli. Szybko jednak zorientował się, że nie to miała na myśli.

Był dumny ze swojego indiańskiego imienia. Dumą napawał go fakt, że postrzegano go teraz jako tego, który uratował bliźniaków. Choć prawdę mówiąc, była to dwustronna transakcja, bo i oni okazali się dla niego ocaleniem. Dzięki nim otworzył się przed nim całkiem nowy świat. Wnieśli ciepło i światło miłości do jego zimnego, ponurego życia. Zawsze będzie im za to wdzięczny. Bardzo ich kochał.

- Wiem, że wszyscy kochacie Trávisa - zwróciła się do zebranych. - W czasie mojego pobytu w Filadelfii przekonałam się, że łączy was prawdziwa przyjaźń. Proszę zatem tylko, żebyście nigdy nie odmówili mu wsparcia. Kochajcie go i pozostawcie mu bliscy.

Emocje rozsadzały ściany ciasnego wigwamu. Oczy kobiet były zamglone łzami. Mężczyźni znacząco milczeli, bo gardła mieli zaciśnięte przez przywołane przez Dianę uczucia.

Miłość do bliźniaków i dumna z nich huczały Trávisowi w głowie niczym rwąca rzeka. Patrząc na przyjaciół, był poruszony, wdzięczny i szczęśliwy. Tylko na myśl, że straci wkrótce miłość swojego życia, nieomal skręcał się z bólu.

Później, kiedy w domu zapadła już cisza, Diana stała w salonie, wpatrując się w noc. Na niebie zebrały się chmury i bezszelestnie sypnęły miękkim śniegiem.

Goście już wyszli, bliźniacy zasnęli. Nie miała pojęcia, co porabia Travis. Wiedziała, że jeszcze nie śpi. Wiedziała, że wciąż chce z nią porozmawiać. Wyczytała to w jego spojrzeniu podczas kolacji.

Ani jej było w głowie mówić mu całą prawdę. Nie chciała, by dowiedział się, że ma do czynienia z kobietą niedoskonałą. Po pewnym czasie utwierdziła się jednak w przekonaniu, że on ją do tego zmusi. Że inaczej nie przestanie przekonywać jej, że powinni być razem. Ta myśl przygnębiła ją, lecz jak poradzić sobie z tym, co nieuniknione?

Poza tym co z tego, że Travis się dowie, myślała. Ona i tak stąd wyjedzie i nigdy więcej się nie spotkają.

Jej oczy zwilgotniały.

- Diano.

Zamknęła oczy. Nadszedł czas. Teraz mu powie.

- Nie złość się już na mnie, proszę - powiedział. - Nie powinienem być całować cię w ten sposób, nie powinienem być próbować...

Głos mu się załamał. Nie znajdowała lekarstwa na jego bolące serce. Nie potrafiła nawet uleczyć swojego.

- Nie gniewam się - odparła. - Wiem, że chciałeś dobrze. Wiem.

- Ale wciąż nie chcesz przyznać, że jesteśmy bratnimi duszami? Nie rezygnujesz z wyjazdu?

Westchnęła i obróciła ku niemu twarz.

- Powiem ci prawdę. Wierzę, że... - Zabrakło jej tchu. Czy ma dość odwagi, by mu to powiedzieć? - Wierzę, że jesteśmy bratnimi duszami. I wyjeżdżam.

- Ale dlaczego?

Dotknął jej, Wziął ją w ramiona. Miała już w oczach mo-

rze gorących łez. Bolało ją jego cierpienie, bolało podwójnie, bo to ona było jego przyczyną.

- Mogę ci udowodnić - zaczęła. - Udowodnić, że mam rację.

- Udowodnić? O czym ty mówisz?

Jej oddech stał się nieregularny.

- Przez wszystkie miesiące małżeństwa ani razu nie miałam. .. nigdy nie przeżyłam...

- Orgazmu? Nigdy nie miałaś orgazmu?

Przytaknęła, niezdolna spojrzeć mu w oczy.

- Jeśli tu zostanę, jeśli będziemy razem, nasz związek rozpadnie się szybciej, niż możesz sobie wyobrazić.

Mężczyźni nie potrafią z tym żyć. Wiem, mam to już za sobą.

- Zmuszając się do podniesienia wzroku, dodała: - Nie zniosłabym, gdybyś kiedykolwiek spojrzął na mnie ze złością i rozczarowaniem. Dlatego odchodzę. Jutro. - Ociężała od smutku, odwróciła się i opuściła pokój.

Mijały godziny, a ona leżała bezsennie, pod pokrywą żalu, który dusił i ziębił bardziej niż śnieg. Co powie jej babka? Jak zareaguje na kolejny powrót wnuczki do rezerwatu ze złamanym sercem?

Tajemnicze słowa babki powróciły do niej w cierpieniu. „Zobaczymy, co los przyniesie”.

Diana usiadła. Czyżby jej babka wiedziała? Czy mogła przewidzieć, że Diana zakocha się w Travisie?

Ktoś zapukał do drzwi. Spojrzała na zegarek, była druga w nocy. Z pewnością nie miała teraz ochoty omawiać swoich seksualnych problemów. Wcisnęła głowę w poduszkę, z nadzieją, że Travis odejdzie. Kilka długich minut upłynęło w ciszy. Czemu miałby...?

Nie mogła wytrzymać, odrzuciła pościel i podeszła do drzwi. Otworzyła. Hol był pusty, ale do drzwi przypięta była kartka. Przeczytała: „Spotkajmy się w wigwamie”.

O Boże, on naprawdę chce jeszcze raz przeżyć odrzucenie? Wsunęła buty, zawiązała sznurówki i owinęła się ściągniętą z łóżka kołdrą. To nie potrwa długo, pomyślała.

Księżyc oświetlał drogę między nagimi drzewami i rzucił cienie na śnieg. Trzęsa się, ale brnęła dalej. Odsunęła koc u wejścia, nachyliła się i weszła.

- Travis...

W wigwamie nie było nikogo, pomarańczowy ogień dawał światło i ciepło. Zrzuciła kołdrę. Gdzie on jest?

Ledwo to pomyślała, dobiegł ją jakiś dźwięk. Tęskny dźwięk fletu. Travis gra dla niej miłosną serenadę! Było to takie romantyczne, tak poruszające, że na jej twarz wypłynął ciepły uśmiech. Ten mężczyzna jest po prostu niemożliwy. Przykłękała na kołdrze, zasłuchana w prostą melodię, która mówiła jej, że Travis pragnie jej niezależnie od wszystkiego. Że kocha ją taką, jaka jest. Serce pęczyło jej z radości.

Muzyka umilkła i twarz Travisa pokazała się u wejścia.

- Wiem - powiedział. - Słoń nadepnął mi na uszy. Było strasznie, ale ją rozbawił.

Wszedł do środka i opadł na podłogę obok niej.

- To najpiękniejsze dźwięki, jakie znam. Żaden flet tak nie brzmi. Żaden, na którym dotąd grałem.

- Jesteś niemądry - powiedziała.

- Ale i tak mnie kochasz - szepnął. - Powiedz to. Chcę to usłyszeć.

- Travis. - Spojrzała w bok, ale chwycił ją lekko za brodę. Musiała przyznać: -Tak. Kocham. Ale...

- Żadnego ale. Zaufaj mi.
- Chciałabym, ale...
- Przestań - ostrzegł, zabawnie mrugając powiekami. -

Co powiedziałem?

Potem ją pocałował, mocno i zachłannie.

- Wiesz, jaki jestem szczęśliwy? - spytał. - Jak się cieszę, że to ze mną po raz pierwszy poczujesz się spełniona?

- Ale skąd ta pewność?

Potrząsnął głową.

- Znowu to słowo na a?

Jego wargi wędrowały w dół jej twarzy, ku szyi, i wysyłały gorące impulsy do jej wnętrza. Jego dłonie błądziły po jej talii, udach, plecach.

- Twój eks był kompletnym idiotą. Samolubnym głupkiem, który nie zwracał sobie głowy twoim szczęściem. Nie zrobił nic, żebyś czuła się dobrze. Dam głowę.

Kolejnym pocałunkiem pieścił wzniesienia jej piersi. Jęknęła tylko. Szalały w niej gorączka i dreszcze. Nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś podobnego.

- Pamiętaj... - Deszcz pocałunków spadł na wygięcie jej szyi. - Pierwszym obowiązkiem bratniej duszy jest troska o satysfakcję partnera.

- Pierwszym... - powtarzała, ciężko dysząc - obowiązkiem. ..

- Uhm.

Całował ją, pieścił, tulił bez końca... aż zaczęła się bać, że traci zmysły. Tak bardzo chciała mu wierzyć. No i żeby był miłością jej życia. Jej rycerzem, bratnią duszą. Żeby dbał o nią pod każdym względem.

I tak się stało.

Właśnie wtedy.

Właśnie tam.

Później droczyli się i przekomarzali, a żar nadawał ich ciałom miedziany połysk.

- Musimy iść - szepnął jej w końcu do ucha. - Chłopcy mogą się obudzić.

Kiwnęła głową, przytulając go.

- Chcę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

Zmartwienie zaróżowiło jej policzki.

- Musisz znać prawdę. Na temat swojego imienia.

- Indiańskiego imienia?

Przytaknęła.

- Jesteś nieoceniony dla chłopców - powiedziała - ale ja wybrałam dla ciebie to imię - czule dotknęła jego twarzy - bo jesteś wielkim wojownikiem, który zdobył moje niezwyciężone serce.

Zaufała mu więc. I znalazła w nim człowieka honoru. Kochanka. Przyjaciela. Mężczyznę, który dał jej szczęście. Znalazła w nim Wielkiego Wojownika.